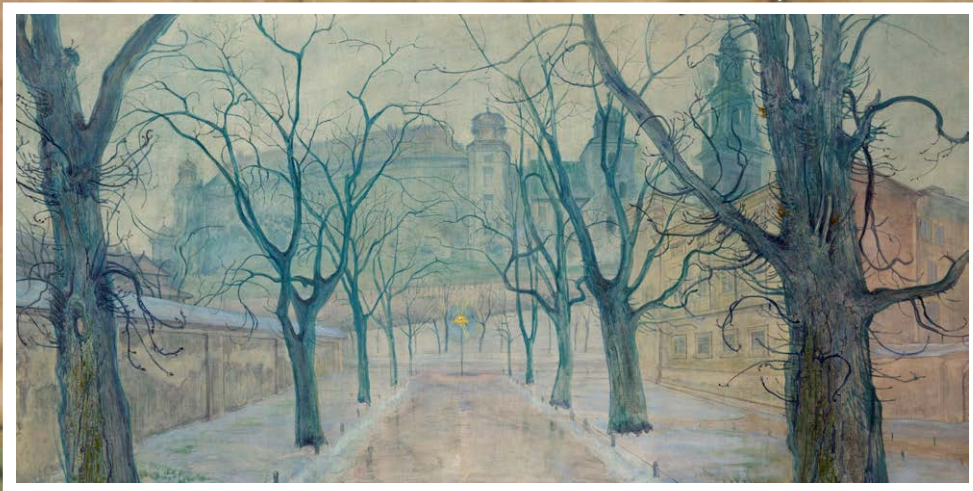


FORUM 95

MYŚLI WOLNEJ

Stanisław Wyspiański
Poranek pod Wawelem, 1894

krakowski magazyn racjonalistów



W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Błogosławieństwo czy przekleństwo*
- Leopold Infeld, *Religia i ja*
- Piotr Krywak, *Quo Vadis Homo?*
- Alicja Górowska, *Wojna – strach i lęk*



OD REDAKCJI

1 Życzenia noworoczne

TEMATY SPRZED LAT

2 Tadeusz Boy-Żeleński – *Błogosławieństwo
czy przekleństwo*
Wstęp i opracowanie – Piotr Augustynek

MYŚLĄC BELFREM

9 Piotr Augustynek – Ustawa do kosza

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

11 Kazimierz Pasenkiewicz – *Pożegnanie z bronią*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

17 Bogumił M. Woźniakowski – *Gabriel Narutowicz –
Prezydent „w fartuszu”*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

25 Leopold Infeld – Religia i ja

RELIGIOZNAWSTWO

37 Andrzej Kansy – *Dzieje i współczesność wspólnot maria-
wickich na ziemiach polskich*

LITERATUROZNAWSTWO

42 Piotr Krywak – *Quo vadis homo?
Stanisława Lema prorocтво dehumanizacji*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

46 Danuta Stolarek – *Zoe Paleolog – Greczynka na Kremlu*

FELIETONY

56 Alicja Górowska – *Wojna – strach i lęk*

57 Babcia – *Pytania bez odpowiedzi*

58 Marchoń – *Idole*

KRONIKA

60 W świątyni hinduskiej w Brzegach

62 Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

CZAS istnieje wtedy, gdy istnieje człowiek zdolny dostrzec i zmierzyć jego upływ. Tak w skrócie może brzmieć bardzo uproszczona próba wytłumaczenia pojęcia i istoty czasu. Wytłumaczenia, które tak naprawdę niczego nie tłumaczy. I to jest swego rodzaju dowód człowieczej bezradności wobec czasu. I co z tego, że mamy coraz to doskonalsze czasomierze, coraz mniej zrozumięte teorie dotyczące czasu?

I tak nic a nic z tego nie rozumiemy, choć na przegubach naszych rąk błyszczą i ciężko pracują coraz doskonalsze cuda techniki, mierzące ile to nam jeszcze pozostało...

Różne cywilizacje, różne grupy wyznaniowe, różnie zmotywowane – różnie oznaczają upływ czasu. Czy poprzez różnice w symbolicznym, a jakże, oznaczaniu czasu ludzkość jest szczęśliwsza, albo (co najważniejsze) mądrzejsza? Tu można mieć wątpliwości.

Skoro więc znów wydarza się nam pokonywanie kolejnego symbolicznego etapu naszego wspólnego czasu, to

czego mamy sobie życzyć? Sobie, bo ten trudny, wrogi, a czasem nieludzki CZAS jest nam dany – nam wszystkim.

Życmy więc sobie nawzajem, byśmy wciąż, uparcie i wytrwale uczyli się używać rozumu. Używać w dobrym celu, by nikomu nie stała się krzywda.

Życmy wszystkim istotom (także tym z gatunku *homo sapiens*), by nie dały zarazić się śmiercią. Ona i tak musi przyjść.

Życmy sobie i innym, byśmy wreszcie nauczyli się UŚMIECHAĆ. Nie rechotać, nie wyśmiewać, ale właśnie uśmiechać.

Stary Rok odchodzi, Nowy Rok na horyzoncie, jak co roku składamy sobie życzenia – i co?

Pesymista mruknie ponuro, że nic się nie zmieniło.

Optymista powie, że mimo wszystko należy próbować, bo a nuż tym razem będzie lepiej?

Moc serdeczności, Drodzy Czytelnicy!

Redakcja



Macierzyństwo i hipokryzja

Kolejny tekst naszego Patrona – tym razem ze zbioru pt. „Piekło kobiet”. Niby pisany tak dawno (pierwsze wydanie rok 1930), a jednak wciąż krzyczy swoją nieprzemijającą aktualnością. Świat wokół zmienia się tak, że ze zrozumieniem nadążyć trudno, a nasze społeczeństwo (pardon – NARÓD) tkwi w uścisku przeszłości jak owad w bryłce bursztynu. Może nie całe społeczeństwo, ale z pewnością jego pravicowo zjednoczeni wokół kasy i kościoła przedstawiciele.

Ileż (wtedy i obecnie) wysiłku poświęcono dla ideowego usprawiedliwienia wszelkich działań mających na celu ubezwłasnowolnienie kobiet? Ile przytoczono argumentów pasujących jak przysłowiowy garbaty do ściany, aby tylko padło gromkie „NIE” dla samostanowienia kobiet o własnym ciele? Wtedy i teraz...

Czy naprawdę jesteśmy aż tak niewrażliwi? Nie wiem, ale wiem, że oto zbliża się kolejna nasza szansa powiedzenia „NIE” wszelkim siłom zawłaszczającym sobie prawo decydowania o życiu kobiet. Tą szansą, drogie Panie, są wybory. A zatem...

Wstęp i opracowanie: Piotr Augustynek

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

BŁOGOSŁAWIENSTWO CZY PRZEKLEŃSTWO

Wspomniałem o walce, jaką społeczeństwo toczy w Niemczech przeciw osławionemu paragrafowi 218. Mam w tej chwili w rękę świeżo wydaną książkę propagandową Credego pt. *Frauen in Not* ze znamieną ryciną tytułową: na krwawo-czerwonym tle, rysuje się złowrogo olbrzymi czarny paragraf, a na nim, jak na krzyżu, przybita doń gwoździami kobieta. Na postumencie paragrafu – napis: 218. Książka ta to zbiór spostrzeżeń lekarza, ujętych w formę obrazków z życia: każdy obraz ukazuje z innej strony okrucieństwo i szkodliwość paragrafu, każdy kończy się tym, że § 218 musi zniknąć. Wspominam o tym dlatego, że jest to sprawa na wskroś międzynarodowa: straszenie jednego narodu płodnością drugiego jest nie najmniejszą przeszkodą do ułożenia sąsiedzkich stosunków.

Ten sam straszak – mnożność Słowian – jeszcze wyraźniej występuje w Niemczech w innej walce, tej, którą czynniki rządowe prowadzą przeciw „regulacji urodzeń”. A walka ta jest w Niemczech nader znamieną: mimo że bynajmniej nie grozi Niemcom, jak Francji, wyludnienie, sfery rządzące dążą wszelkimi sposobami do utrzymania nadmiaru płodności.

Niemcy są bardzo płodne; nie tak jak Polska, ale aż nazbyt wystarczająco. Rozgoryczenie powojenne, nędza mieszkaniowa, trudne warunki życia, wszystko to sprawia, że w ostatnich czasach wzmógł się tu prąd „regulacji urodzeń”, tak zwycięsko zdobywający teren od wielu lat w Anglii, przedtem zdławiony w Niemczech „dryblem” patriotyczno-wojskowym. Ale i dziś ruch ten jest nienawistny rządzącym czynnikiem. Kapitalizm chętnie widzi nadmier-



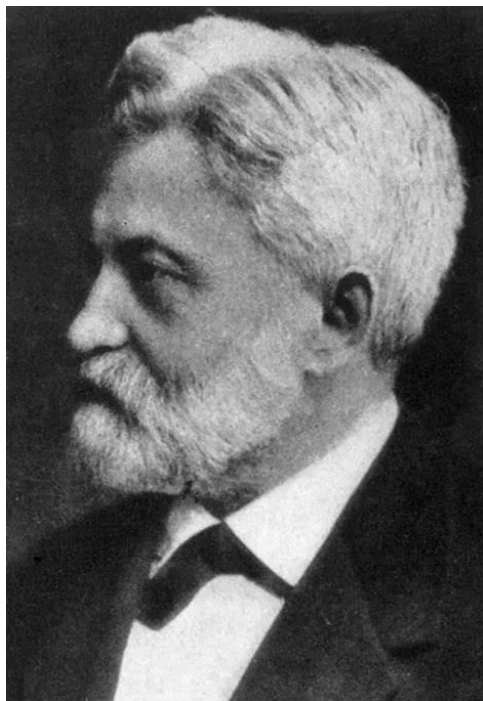
Dzieci z wielodzietnej biednej rodziny

ną podaż robotnika, co obniża jego cenę i zdaje go na łaskę i niełaskę kapitału; militarizm – owo *der Kaizer braucht Soldaten* – wierny jest tradycjom Fryderyka II, który poddanych uważał za swój „wielki zwierzynek”; wszystko to nadaje przykazaniu „rozmnażajcie się!” pozory patriotyczne, obywatelskie, społeczne. Przeciwstawia się temu uświadomiona coraz bardziej klasa pracująca, nie biorąc się na lep tych słów, których cenę zapłaciła zbyt świeżo i zbyt obficie swoją krwią i męką. „Gebärstreik” – strajk rodny – tak nazywają sami zwolennicy „regulacji” swoją akcją.

Propagowanie płodności wzmogło się w Niemczech z początkiem wojny. Powstały ligi agitujące za maksymalnym przyrostem ludności, aby zapełnić luki wyrwane przez kule armatnie. „A ile wy macie dzieci?” odpowiadają z ironią szanownym protektorom płodności szermierze „regulacji”. I argument ten jest trudny do zbitcia, bo faktem jest, że te właśnie zamożne sfery uprawiają „neo-maltuzjanizm” od dawna i mają ilość dzieci znikomą. Toż samo odpowia-

dają w Niemczech szermierze regulacji lekarzom, którzy w imię patriotyzmu wzbraniają się uświadamiać matek co do środków przeciw zapłodnieniu. „A ile wy macie dzieci, panowie lekarze?” pytają. I w istocie, statystycznie jest stwierdzone, że lekarze stanowią klasę, która ma najmniej dzieci. (Coś około półtora dziecka na lekarza). I toczy się zacięta walka: zwolennicy „regulacji” agitują za pomocą broszur, odczytów, uświadamiając coraz szersze sfery, zdzierając maski obłudy społecznej, grożąc wręcz bojkotem lekarzom, którzy się wzbraniają pouczać kobiety w tej mierze. Policja tępi odczyty i zgromadzenia; sądy nie zawsze mogą uderzyć wprost, ale konfiskują uświadamiające broszury pod pozorem... pornografii. Mimo to akcja osiąga skutek: liczba urodzeń w Niemczech spadła w ostatnich czasach znacznie. I śmiertelność dzieci również, prawie w tym samym stosunku.

Nas walka ta musi niezmiernie interesować: „regulacja urodzeń” to program paacyfizmu, uznania praw innych narodów,



Dr Carl Crede

zgodnego współzycia ras; hasło nieograniczonego płodzenia to imperializm, to odwet, to przyszła wojna. Dzień, w którym kobieta polska porozumiałaby się z niemiecką co do „demobilizacji macie”, byłby ważnym dniem dla pokoju ludzkości: może ważniejszym od wszystkich szacherek genewskich. Neo-lizystratyzm...

A teraz kilka słów o samej kwestii. Ciekawe byłoby zważyć, skąd pochodzi zabobon licznej rodziny. To pewna, że ten kult, który przerodził się w bezmyślnie powtarzaną formułę, ma swoje początki niezmiernie dawne, w każdym zaś razie zrodzone ze stosunków zupełnie innych niż dzisiejsze. Kiedy ziemi było pod dostatkiem, a brakło rąk do jej uprawy, kiedy w ogóle wszelka praca była tylko ręczna, kiedy ciągłe wojny, krwawe pomsty, wycinanie w pień, były świętym prawem i chlubą, kiedy choroby i zarazy dziesiątkowały ziemię, a przeciętny wiek człowieka był o połowę krótszy niż dzisiaj – wówczas niewątpliwie trzeba było zapeł-

niać te luki masą świeżego mięsa. Kiedy rodzina była jedyną komórką organizacyjną, rękojmią znaczenia i bezpieczeństwa jednostki, wówczas, rzecz prosta, powstały owe pojęcia gloryfikujące liczne potomstwo. Stąd owe błogosławieństwa biblijne: „rozmnożę cię jako piasek na dnie morza” etc. Dziś liczna rodzina od dawna znaczy u biedaków nędzę, upośledzenie, niewolę, chorobę, śmierć, egzystencję sprowadzoną do potrzeb bydłych. Wyraz: stan „błogosławiony” stał się krwawą ironią.

Mimo to, uświadomienie ma do zwalczania rozliczne przeszkody. Do wspomnianych czynników przyłącza się religia ze swym upartym konserwatyzmem i pasją utrudniania życia, aby skierować spojrzenia ludzi na tamten świat, podnosząc rolę tych, którzy mają klucz od jego szczęśliwości. Może gra tu rolę i interes kleru, który, jak wspomniałem, wiąże się nie tylko z przyrostem, ale z „obrotom” ludności... Bądź co bądź, są okolice – Bawaria, Flandria – w których księża sami popierają „regulację urodzeń”; stwierdzili bowiem, że chłop mający niewiele dzieci jest konserwatywny, gdy chłop sproletaryzowany zbyt liczny potomstwem staje się wywrotowcem. Nie wiem, jakie motywy utwierdzają lekarzy niemieckich (90 procent lekarzy!) w ich zaciętym oporze wobec ruchu „regulacyjnego”: czy fałszywie pojęty patriotyzm, czy może też podświadome poczucie zawodowe, że jednak każde przychodzące na świat nowe dziecko to pacjent, i to podwójny: raz gdy się rodzi, drugi raz gdy rychło umiera, no i po drodze, kiedy choruje? Ale najdziksze rzeczy powstają, kiedy medycyna robi politykę, albo też zacznie fuszerować w religii. Tak np. w Warszawskim Towarzystwie Ginekologicznym jeden z lekarzy potępił w każdym wypadku (!) wszelkie sposoby zapobiegające zająciu w ciąży, „bo to jest (powiada) *contra naturam*, a wszystko, co jest przeciw naturze, jest z punktu etyki chrześcijańskiej niedopuszczalne”.

Zdaje mi się, że cała etyka chrześcijańska jest „contra naturam”; i bardzo szczęśliwie, bo wedle natury może być bardzo dobre ludożerstwo, wielożeństwo i inne rzeczy...

Ot, co łęgnię się w głowach! I tu jakaś „regulacja urodzeń” kielbi we łbie byłaby wskazana... Nie mówiąc o tym, że chciało by się zapytać, ile ten lekarz ma dzieci?

Oto próbka zabobonów i trudności, przez jakie przedzierać się muszą nowe pojęcia.

U nas nie mówiło się o tym zupełnie. Wyższe warstwy od dawna, jak wszędzie, uprawiają cichy neo-maltuzjanizm. Ekonomści piszą dzieła o przeludnieniu. Powaga w tej kwestii, prof. Adam Krzyżanowski, jest fanatykiem antyprzeludnieniowym i wielbicielem starego Malthusa, którego dzieło wydał w języku polskim. Prof. Zofia Daszyńska-Golińska, w dziele swoim *Zagadnienia polityki populacyjnej*, oświadcza się za regulacją urodzeń i cytuje wielkiego ekonomistę J. S. Milla, który, odmalowawszy klęski nadmiernej rozrodczości, powiedział wręcz:

Cywilizacja jest walką przeciw instynktom zwierzęcym, z których najsilniejszy zwycięża. Jeżeli nie zwyciężyła instynktu rozrodczości, to dlatego, że tego nigdy nie próbowała na serio... Nie można spodziewać się postępów moralności, póki licznych rodzin nie będzie się traktowało równie pogardliwie jak pijaństwa...

Ale to wszystko nie znajdowało u nas żadnego praktycznego wyrazu, nie przenikało właśnie do tych mas, o które chodzi. A jeżeli w praktyce odbywała się w tych sferach „regulacja urodzeń”, odbywała się ona w sposób najbardziej barbarzyński, najbardziej morderczy, w postaci spędzeń płodu, dzieciobójstwa, morzenia niemowląt i wreszcie przez rychłe wymieranie zbyt licznego potomstwa. Wszystko z jakimż ubytkiem sił, energii, z jakimż spoiniewieraniem człowieka, z jaką demoralizacją!

Pierwszy raz bodaj – zdaje się nie bez związku z naszymi felietonami – poruszył to zagadnienie na łamach „Robotnika” dr Kłuszyński. Nareszcie robotnik polski mógł się dowiedzieć, że to nadmierne brzemię, to nie jego nędza i troska prywatna, ale wielkie zagadnienie społeczne, którym zajmuje się dziś świat cały. W cyklu felietonów pt. *Znaczenie regulacji urodzeń dla klasy robotniczej* skreślił dr Kłuszyński obraz tego ruchu w różnych krajach. Najwcześniej uświadomienie obudziło się, jak wspomnieliśmy, w Anglii; najwcześniej zrozumiano tam, że zdrowie kobiet, poziom intelektualny, estetyka domowa, kultura i obyczajność związane są z ochroną kobiety, z ograniczeniem potomstwa i ciąży. Kobieta zbyt płodna żyje życiem czysto zwierzęcym. Sam dr Kłuszyński cytuje ze swej praktyki lekarskiej wypadki, i stwierdza, że kobieta zostawiona siłom przyrody – czy „etyce chrześcijańskiej” jak chciał ów natchniony ginekolog – może rodzić do dwudziestu razy i więcej...

Toteż w Anglii nazwano ten ruch „krucją przeciw nędzy”. W roku 1922 odbył się w Londynie kongres, w którym wzięły udział najwybitniejsze osobistości – pisarze od Wellsa począwszy – i gdzie uchwalono, że pouczenia o zapobieganiu ciąży powinny być obowiązkiem lekarza. Na kongresie tym przyjęto uchwałę lekarzy, z których 161 z zebranych 164 uznało regulację urodzeń za najpilniejsze zadanie. 28 kwietnia 1928 Izba Lordów wezwała rząd do usunięcia zakazu, który wprzód zabraniał instytucjom społecznym uświadamiania kobiet o metodach chronienia się od ciąży.

Nie obeszło się bez małego hołdu złożonego obłudzie: do uświadomienia mają mieć prawo tylko... kobiety zamężne!

Ruch ten osiągnął już ogromne praktyczne rezultaty. W ciągu niewielu lat liczba urodzeń w Anglii spadła z 55 na tysiąc do 18 na tysiąc. Klęska ludnościowa pozorną, bo statystyki stwierdzają, że spadkowi urodzeń towarzyszy spadek śmiertelno-

ści przez możliwość lepszego chowania dzieci; nie ma więc tylko daremnego rodzenia i grzebania. Dziecko może być radością, nie klęską, nie katastrofą. Zarazem klasy pracujące w Anglii od dawna ujrzały w tym ograniczeniu płodności najpotężniejszy czynnik podniesienia swego stanu.

Toż samo w Ameryce. Gdy w Ameryce pierwsi lekarze propagujący regulację urodzeń dostawali się do więzienia, a pionierka tego ruchu skończyła samobójstwem, kongres w Nowym Jorku w r. 1925, również z udziałem najwybitniejszych osobistości, był znów tryumfem tej idei. Jasno mówią o tym sprawozdania kongresu. Od roku 1880 do 1913 liczba urodzeń spadła z 37 na tysiąc na 19 – w tym samym czasie śmiertelność spadła z 23 na niespełna 10.

Jeżeli gdzie, to u nas kwestia ta zasługuje na najwyższą uwagę. Wyludnienia nie ma się co obawiać; zresztą, jak mówią cyfry, przyrost ludności wywołany taką dziką „polityką populacyjną” uprawianą w głodne i chłodne noce na nędznych barłogach, jest żłudny; zaludnia, ale... cmentarze. Zresztą ponieważ Polska jest przede wszystkim krajem rolniczym, na wsi zaś warunki te przedstawiają się nieco odmiennie, chodzi tu głównie o sfery robotnicze, o biedotę miejską, gdzie racjonalizacja urodzeń stałaby się bezcennym dobrodziejstwem; o dzieci nieślubne, o wszystkie te wypadki, w których, czy to z przyczyny zdrowia matki czy ze wskazań ekonomicznych lub eugenicznych, ciąża i urodzenie dziecka są niepożądane. „Zapobieganie ciąży” zmniejszyłoby statystykę dzieciobójstwa; przywiódłoby do bankructwa przemysł utrupiania niemowląt, ocaliłoby od samobójstwa wiele dziewcząt, podniosłoby warunki życia uboższych rodzin, ich kulturalne potrzeby, równe dzisiaj niemal zeru, gdy wszystko zjada alkohol i wciąż nowe dzieci.

Jeżeli gdzie, to u nas akcja taka jest potrzebna. A można ją wszcząć śmiało, choćby dlatego, że nowy projekt kodeksu zajmu-

je w tej mierze stanowisko zupełnie neutralne; nie ma tu – w przeciwieństwie do niektórych krajów – żadnych przeszkód prawnych. Wiem to nie tylko z czytania projektu, ale wprost z rozmów z naszymi filarami prawa. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby w Kasach Chorych, aby przy szpitalach i ambulatoriach, tworzyć poradnie dla kobiet, takie jak istnieją np. w Holandii jako urzędowe instytucje użyteczności publicznej, gdzie by pouczano młode kobiety o sposobach regulowania urodzeń, chronienia się od ciąży i udzielano ewentualnie pomocy lekarskiej przy zakładaniu trwałych środków ochronnych.

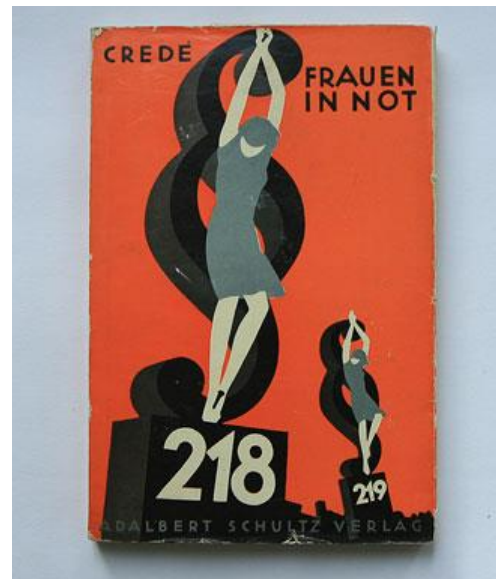
Tego rodzaju poradnie są tym bardziej potrzebne, że, jak o tym czytelniczki moje aż nadto dobrze wiedzą, nie istnieją środki zapobiegawcze absolutnie pewne. Trzeba w tym indywidualizować; w pewnych klasach wreszcie należy wychowywać kobiety zupełnie nieświadome i nienawykłe do elementarnej nawet higieny. Przede wszystkim zaś trzeba wszczepić pojęcie, że ciąża – to nie jest dopust boży, któremu godzi się z uległością poddać, ale czynnik życiowy, który człowiek powinien rozumem swym opanować. Ta kwestia, obłudnie dotąd osławiana, musi wyjść na światło dzienne, musi się stać znajoma już młodej dziewczynie jako elementarz jej kobiecej doli.

Nie idzie to tak łatwo. Bardzo inteligentna i wzięta lekarka chorób kobiecych (nie w Warszawie) opowiadała mi, że w czasie podróży po Niemczech rozmawiała z pewnym lekarzem fabrycznym o tej kwestii. Lekarz zwierzył się jej, że od wielu lat zaleca swoim klientkom pewien prosty, tani i domowy środek, który, wedle jego doświadczenia, nie zawiódł nigdy. Lekarka mówi mi, co to za środek, i dodaje, że nie był nigdy omawiany w żadnych pismach zawodowych, na żadnych zebraniach lekarskich. „Czemu? – pytam zdziwiony. – Bo jest taki śmiszny... odpowiada mi lekarka. – A pani czy go zaleca swoim pacjentkom? – Nigdy! – Czemu? – Bo taki śmiszny” – odpowiada-

da z zażenowaniem sławna specjalistka, rumieniąc się jak pensjonarka. Oto z jakimi organicznymi trudnościami walczyć musi ta z gruntu drażliwa kwestia.

Jedno nie ulega wątpliwości. Dopóki nauka traktowała tę sprawę półgębkiem, póki to była *causa turpis*, w większości krajów tępiona przez zmilitaryzowaną ginekologię, dopóty nic dziwnego, że nie znajdowano na nią rady. Skoro, przy przemianie pojęć o płodności, „regulacja urodzeń” stanie się rzeczą użyteczności publicznej, można mieć nadzieję, że nauka rozwiąże nareszcie tę kwestię, że zapobieganie ciąży stanie się nareszcie czymś pewnym i prostym. Wówczas uświadomienie w tej mierze wejdzie w skład wychowania młodych dziewcząt, wówczas spędzanie płodu stanie się barbarzyńskim przeżytkiem, dzieciobójstwo i zagładzanie dzieci „na garnuszkę” stanie się takim ohydnyim wspomnieniem jak ludożerstwo.

Są pewne dane wróżące tę przyszłość, bodaj owe bardzo świeże jeszcze doświadczenia austriackiego lekarza, robione dotychczas na zwierzętach. Lekarz ów stwierdził, że wyciąg z jajnika albo z łożyska, wstrzykiwany podskórnie lub nawet podawany wewnątrznie samicy, czyni ją niezdolną do zapłodnienia na pewien ograniczony przeciąg czasu. Robiono odnośne doświadczenia na królikach, na myszach i na świnkach morskich. Nie ma powodu, aby to samo nie miało się sprawdzić na ludziach. I tu może leży rozwiązanie tej ważnej kwestii socjalnej; to może zmieniliby postać świata w niedalekiej przyszłości. Wszystkie okrutne paragrafy o przerwaniu ciąży stałyby się zbyteczne, człowiek panowałby świadomie nad regulacją swego potomstwa. Wówczas może zaczęłoby się tryumfalne królowanie człowieka. Kwestia materialnych braków złagodzi się, człowiek będzie mógł się oddać szlachetniejszym zadaniom. Ujarzmi przyrodę. Maszyna będzie za niego dźwigała ciężary życia. Pokój zapanuje na świecie. Woj-



Okładka książki Carla Crede

ny i rzezie staną się mitem takim jak wojna trojańska.

A gdyby się okazało z czasem, że ludzi jest zbyt mało, że dzieci rodzi się nie dość, wówczas społeczeństwo znajdzie niechybnie sposoby, aby swą wydajność pomnożyć. Nie karami, ale nagrodami; zachętą, pobudzeniem ambicji. Panna, która urodzi dziecko, dostanie nagrodę cnoty; za bliźnięta – złoty krzyż zasługi. Ojciec czworga dzieci będzie wolny od podatków i otrzyma bezpłatne mieszkanie. Ojciec sześciorga dzieci zostanie senatorem i otrzyma honorowy doktorat politechniki etc. „Polityka populacyjna” przejdzie od systemu kar do systemu nagród; o ileż jej z tym będzie bardziej do twarzy!

Zaledwie pojawiła się pogłoska o odkryciu austriackiego lekarza, już zaczęto dzwonić na alarm. Jedno z berlińskich pism oświadczyło, że „Państwo i Kościół, z przyczyn religijnych, etycznych i państwowych, sprzeciwi się najenergiczniej jego wprowadzeniu w życie”. Czy może być komiczniejsza enuncjacja? Niech próbują! (...)

Znamiennie odnoszą się do neo-maltuzjanizmu sowiety. Miałem w ręku, dzięki uprzejmości rosyjskiego poselstwa, szereg broszur, do których jeszcze powró-

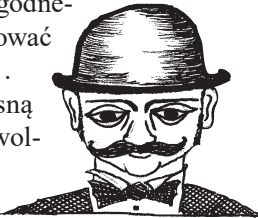
cę. Stanowisko wobec „regulacji urodzeń” jest tam nieufne: uważają to za burżujską sztuczkę, aby, przez podniesienie dobrobytu robotnika, zmniejszyć jego „napięcie rewolucyjne”... Ale w istocie rząd sowiecki bada u siebie pilnie tę kwestię, którą słusznie uważa za nie dość jeszcze poznaną. Bada z właściwym sobie etatystycznym rozmachem: mianowicie stosuje się tam środki zapobiegawcze – guberniami: jedna gubernia używa tego, inna owego środka, po czym zestawia się statystykę porównawczą wyników).

W konkluzji sędzę, że całą tę sprawę powinny wziąć w ręce kobiety. Czyż może być rzecz, która by bardziej była ich sprawą? Ale jakież rozdzwięk panuje między tym, o czym kobiety piszą, a o czym myślą! Gdyby pisma kobiece były istotnym wykładnikiem życia kobiet i ich zainteresowań, połowa artykułów czcigodnego „Bluszczu” powinna by traktować o środkach przeciw zapłodnieniu...

Niechże więc kobiety otrząsną się z fałszywego wstydu i z niewol-

niczej apatii. To nie żadna rozpusta, nie żadna zbrodnia, ale wielka kwestia społeczna, która zajmuje dziś obie półkule świata. Jest u nas tyle lekarek, tyle społeczniczek, niechże założą specjalną poradnię w sprawach „regulacji urodzeń”; niech uświadamiają kobiety o środkach przeciw zajściu w ciążę, niech im służą radą, pomocą; niech wreszcie badają kwestię naukowo, niech robią obserwacje, statystyki. Niech przede wszystkim wejdą w styczność z pokrewnymi organizacjami w innych krajach. Niech raz ta sprawa będzie u nas traktowana po ludzku, mniej obłudnie, mniej bezmyślnie, mniej frazesowo. Bo piękna to rzecz wstydlivość niewieścia, ale nie wtedy, gdy się ją opłaca kosztem tyłu nieszczęść, niedoli i zbrodni! □

„Piekło kobiet”,
Biblioteka Boy’a, wyd. III,
Warszawa 1933



SANEQ DOKŁ?

SPOSÓB NA HISTERYCZKĘ

Autor *Przygód Hucka*, Mark Twain, odbywał raz podróż koleją. W tym samym przedziale siedziała jakaś dama, która na każdym zakręcie czy podczas nagłego zatrzymania się pociągu wdrygała się i histerycznym głosem wykrzykiwała:

- Co się stało? Czy wypadliśmy z szyn? A może to napad?

Pisarza zaczęło to coraz bardziej denerwować, ale nie dał tego po sobie poznać. Dopiero gdy owa pani zapytała go, czy nie boi się katastrofy kolejowej, odpowiedział:

- Nie, proszę pani, tego się wcale nie obawiam, bo wywróżono mi, że skończę na szubienicy!

Na najbliższej stacji owa pani przeniosła się do innego przedziału.



PIOTR AUGUSTYNEK

USTAWA DO KOSZA

Z nieukrywanym zdziwieniem obserwuję polityczne harce wokół oświatowej ustawy, potocznie nazwanej „Lex Czarnek 2.0”. Powtórne veto prezydenckie już jest samo w sobie zaskoczeniem. Pamiętamy przecież (ba, przyzwyczailiśmy się), że głowa naszego państwa podpisywała różne legislacyjne dziwolągi, które trafiały na jej biurko. A tymczasem...

Nie mam ani siły, ani ochoty dociekać przyczyn prezydenckiego nieposłuszeństwa. Szkoda czasu. Szkoda nerwów.

Interesuje mnie natomiast wpływ tego idiotycznego chocholego tańca na odczucia i postawy społeczne – nie tylko wśród nauczycieli, ale także wśród uczniów. Rodziców celowo pomijam – oni od dawna myślą swoje.

A zatem – nauczyciele. Najpierw otrzymują porażającą informację, że kurator (a na pewno co głupszy) będzie wykorzystywał swoje uprawnienia do zwalniania niewygodnych dyrektorów szkół, do „dyscyplinowania” co bardziej niepokornych belfrów. Cóż – wiadomo, że w atmosferze strachu i niepewności trudno jest pracować, szczególnie w szkole. Do głosu wtedy mogą dojść zachowania koniunkturalistyczne, dążenie do niewychylania się, zgoda na bezprawie i szarżowanie godności ludzkiej. Może użyłem tu zbyt górnolotnych określeń, ale czymże jest oficjalne, urzędowe, w majestacie prawa uwłaczanie nauczycielom, odbieranie im podmiotowości, podważanie ich wartości jako grupy społecznej? Czym-

że jest traktowanie dyrektorów szkół jako ślepego narzędzia w ręku kuratora? Przecież to już w najnowszych dziejach prze-rabialiśmy. Zawsze źle się to kończyło. Dla władzy oczywiście, ale „ci następni” nie wyciągali żadnych wniosków. I dlatego nauczyciele, artyści, lekarze, naukowcy – słowem inteligencja – zawsze są pomijani, lekceważeni, co najwyżej uważani przez rządzących za „pożytecznych idiotów”. Czemu władcy (obecni i poprzedni), wywodzący się z nurtów ogólnie rzecz biorąc prawicowych, tak uparcie trzymają się leninowskiej tezy o „pożytecznych idiotach”? Sam nie wiem.

Oczywiście, obecna władza takimi „czarnkowymi” ustawami wyrzucanymi przez prezydenta do kosza sama sobie strzela w stopę. Któż bowiem będzie taką władzę szanował? Chyba tylko oczadziaili ideologicznie wyborcy – rycerze jedynie słusznej sprawy. To też już przezwyczyliśmy.

A teraz – uczniowie.

Władcy obecnie nam panujący zdają się mniemać, że jedynym prawem ucznia jest chodzić na lekcje religii i siedzieć cicho. Ale przecież od dawna tak to nie działa. Co do lekcji religii nawet hierarchia kościelna jawnie bije na alarm, bo liczba uczestników szkolnej katechezy kurczy się coraz szybciej. Samorządy terytorialne (nie tylko kierowane przez lewicę) oficjalnie mówią o konieczności likwidacji etatów katechetów szkolnych, bo... nie ma kogo katechizować.



Tak więc pierwsza część tezy głoszonej przez władzę po prostu jest nieprawdziwa. Ba! Przyjrzyjmy się ilości powołań do stanu kapłańskiego, a zatem ilości chętnych do nauki w seminariach. Mamy to samo. Można prześledzić, bez naruszania jakichkolwiek sfer tabu, ile to w ostatnich dwóch-trzech latach zawieszono lub zamknięto seminariów w różnych diecezjach. Czyżby znów spisek komuchów, Żydów i masonów?

Czy młodzież będzie chciała zatem siedzieć cicho i nie dyskutować o tym, co jej dotyczy? Nie sądzę. Pojawił się i na dobre zadomowił Internet i inne formy komunikacji społecznej. Tutaj (na razie) władza polityków nie sięga. Chociaż... Całkiem niedawno Prezes w swoim kolejnym stand-upie deklarował swoje zaniepokojenie (patriotyczne, oczywiście) Internetem i różnymi środkami komunikacji cyfrowej. Rzekł nawet, że władza będzie temu przeciwdziałać. Ciekawe

jak? Pewnie coś wymyśli. Na razie, gdyby nie było tak głupio, mogłoby być śmiesznie.

Młodzi ludzie podchwycili te i inne napuszone wypowiedzi rządzących, i ilość celnych (nie zawsze grzecznych) komentarzy i memów wzrosła. I tu kolejny „samobój” władzy. Szanowni politycy zapominają o tym, że dzieci i młodzież dysponują bardzo wyczulonym zmysłem obserwacji. To pokolenie, pochylone nad ekranem komputera, nad komórką czy tabletem, żadnej władzy już nie uwierzy. Zresztą innym dorosłym też chyba nie. Tak właśnie kończy się amatorszczyzna w zarządzaniu edukacją, bo w następnych wyborach weźmie udział spora grupa młodzieży, korzystającej z dobrodziejstw IT.

Po raz kolejny życie przerasta kabalet. □

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

POŻEGNANIE Z BRONIĄ

Zostałem ranny na wypadzie w okolicy Sarn, na tyłach następującej Armii Czerwonej. Ułożono mnie w wozie. Gospodarz Ukrainiec, oraz jeden z wziętych do niewoli – młody żołnierz radziecki wieźli mnie przez całą noc do Rokitna, gdzie był polowy szpital. Ich wielkoduszności zawdzięczam życie. Po nocnych majaczeniach oprzytomniałem i rozejrzałem się. Słoneczny dzień, piękny park, pokoje w pałacyku wypełnione rannymi leżącymi na noszach i polowych łózkach.

Wzięto mnie na salę operacyjną; kości goleniowe pogruchotane, mięśnie i skóra podziurawione. Zerwanie przyschniętych bandaży sprawiało ból trudny do zniesienia. Po opatrunku ogarnęła mnie nieprzewyciężona potrzeba kontaktu ze słońcem i zielenią. Było to po latach chłodu i głodu, gdy neutralni, jakim byłem, zostali uznani przez obie strony za wrogów. W tym właśnie dniu, ciężko ranny, poczułem się zupełnie bezpieczny i mogłem spojrzeć na otaczający, piękny świat; nie jak na arenę walki i wysiłków, ale jak na kojącą bezpieczną ziemię obiecaną. W jakiś sposób zrozumiano moją prośbę, może potraktowano ją jako ostatnie życzenie umierającego. Spędziłem więc kilka godzin gorącego letniego dnia w parku leżąc na noszach. Przyszłość wydała mi się pomyślna i pogodna, jak ten dzień.

Noce natomiast były bardzo niespokojne. Przeważali ranni w atakach kawaleryjskich, a więc posiekani szablami w górne części ciała. Ranni w głowę byli bardzo niespokojni. Majaczyli wydając bojowe okrzyki i komendy w polskim lub rosyjskim języku. W ciągu nocy kilku zmarło.

Po paru dniach szpital ewakuowano. Rannych przenoszono do pociągu; kilka wagonów sanitarnych i osobowych, a reszta – wagony towarowe. Ewakuację ranni przyjęli z ulgą; budził jednak wątpliwość kierunek: pociąg miał jechać do Wilna przez Sarny i Baranowicze, a więc na spotkanie nieprzyjaciela. Tak też było; musiano nas wyładować już na stacji Baranowicze. Tam prawie dobę czekaliśmy na pociąg sanitarny; mieli nas zawieźć do Brześcia nad Bugiem (co także było błędem). Zdając sobie sprawę z tego, że nacierające oddziały Czerwonej Armii były blisko, ranni byli bardzo niespokojni.

Załadowano nas późnym wieczorem. Było nas w towarowym wagonie ośmiu i jechał z nami sanitariusz. Jeden z rannych w ciągu nocy zmarł. Po niespokojnej nocy obudziłem się dość późno, poczułem się dobrze, ogarnęła mnie błogość i spokój. Na stacji, o ile pamiętam w Berezie, wyniesiono zmarłego. Pojawiły się dwie siostry Czerwonego Krzyża, Angielki. Oderwały płótno z mojej nogi. Z jednej z ran trysnęła krew; w ruchu kości przetarły arterie. Ja i jedna z sióstr nacisnęliśmy arterię w pachwinie; sprowadzony przez drugą siostrę lekarz zatamował krew.

W szpitalu w Brześciu, już wieczorem, po raz pierwszy od zranienia siostry mnie umyły. Leżałem w małej sali w czystym łóżku. Błogostan ten nie trwał długo; trzeba było wlać do ciała dużą ilość roztworu fizjologicznego. Wbito mi w mięśnie brzucha olbrzymi hak i mogłem przyglądać się, jak wyrasta nabrzmienienie. Usiłowano je rozmasować; był to bardzo bolesny zabieg. Na trzeci dzień stwierdzono gangrenę. Psychicznie w dzień czułem się niezłe, ale nocie



Szpital polowy

były pełne koszarów. Majaczyłem bardzo realistycznie, że śmierć stoi za drzwiami, ale ma jakieś kłopoty z wejściem; usiłowałem ją odstraszyć krzykiem; krzyczałem chyba całą noc. Zastrzykiwano mi morfinę, ale czułem do tych zastrzyków głęboki wstręt; wolałem ból.

Wieczorem przyszedł ksiądz z ostatnim namaszczeniem. Przy spowiedzi usiłowałem przypomnieć sobie jakiś imponujący grzech, ale bezskutecznie; co może nagrzeszyć zwykły żołnierz w akcji. Małostkowe uczucia dawno go opuściły. Największą zbrodnią jest zabójstwo. Ale walczący żołnierz często daje się zabić, rzadko natomiast przypada mu w udziale świadome zabicie nieprzyjaciela; czyni to zresztą półprzytomnie, w uniesieniu bojowym. Nareszcie przypomniałem sobie, że w Malinie jadłem konfitury zrabowane przez kolegów Żydom. Byłem oburzony, że ksiądz nie potraktował tego poważnie i upierałem się, że czyn ten zasługuje na potępienie. Tak odbyła się pierwsza od 12 roku życia i – jak dotychczas – ostatnia spowiedź. Niewątpliwie

przyniosła mi ulgę. Sądzę, że tradycja, obyczajowość i etyka katolicka mają pozytywną wartość nie tylko dla wierzących. Wpływy kościoła na życie człowieka przekraczają zakres wyznawców.

Na parę dni przed ewakuacją zdecydowano się wreszcie na amputację. Czekałem niecierpliwie na nią. Zgangrenowana noga nie sprawiała mi wprawdzie bólu, ale powodowała duży niepokój. Zachowanie jedności organicznej, z czymś co się rozkłada, powoduje gwałtowną potrzebę odłączenia się. Po operacji okazało się, że należy ją poprawić, gdyż gangrena przeniosła się na udo.

Wieczorem po ostatniej operacji podkładałem pielęgniarkę list do mojej siostry, ochotniczki w Wojsku Polskim. Amputacja była dla mnie ulgą, zatem list nie zawierał, ku zgorzeniu pielęgniarki, smutku i pesymizmu. Przeciwnie, tkwiły w tej sytuacji dla dwudziestodwuletniego piłkarza elementy wisielczego humoru; właśnie prawa noga była przedmiotem bardzo częstych kontuzji. Przypomniałem sobie wtedy ame-

rykańską nowelę: właściciel amputowanej nogi z trudem organizuje jej pogrzeb; na pogrzebie zapewnia ją, że kiedyś znów się spotkają; ale... że to nie jest pilne.

Nieoceniona rola przeczytanych w życiu książek. Dzięki powieści francuskiej (zdaje się M. Prévost) czułem odrazę do narkotyków, chociaż miałem je często w posiadaniu. Dzięki Dostojewskiemu nigdy nie grałem w gry hazardowe (nawet w wojsku!) i nie miałem do 50 roku życia kropli alkoholu w ustach (potem piłem z obowiązku za zdrowie Stalina).

W parę lat po amputacji przekonałem się, że dwunożność nie jest koniecznym warunkiem uprawiania sportu. Do 70 roku życia uprawiałem turystykę i kajakerstwo, a przed pięćdziesiątką godzinami grałem na jednej nodze w siatkówkę i ping-ponga.

Evakuacja z Brześcia odbyła się w pełnym porządku. Dłuższy postój wypadł na stacji Warszawa Wschodnia. Tu też byłem świadkiem wydarzeń, które mnie zdumiały. Jakiś ranny żołnierz wysiadł z wagonu i domagał się zmiany opatrunku. Młody oficer potraktował go w sposób równie bezczelny jak brutalny. Żołnierz był rozgoryczony. Byłem oficerem w wojsku carskim, byłem blisko z żołnierzami; podobna scena nie mogłaby się tam wydarzyć. Byłem oburzony.

Po pewnym czasie od strony miasta nadzedł jakiś korpulentny mężczyzna w meloniku i z laską w ręce (była to niedziela). Podeszedł do pociągu, stanął w pobliżu naszego wagonu i rozpoczął rozmowę z żołnierzami siedzącymi na peronie i z wyglądającymi przez szeroko otwarte drzwi. Treść jego uwag i pytań była mi dobrze znana. A więc: o co walczyacie, kto skorzysta z przelanej krwi, co to jest władza ludowa i podobne. Żołnierze słuchali niechętnie, stanowili bardzo niewdzięczne audytorium. W pewnej chwili bardzo spokojnie zabrał głos znieważony żołnierz. Z całą życzliwością i naiwnością tłumaczył agitatorowi, że za Polskę należy walczyć, i że

nie można dopuścić do ponownej utraty Ojczyzny. W ciągu ostatnich miesięcy była to już druga lekcja żołnierskiego patriotyzmu. Wiedziałem już na pewno, że taki żołnierz wojny nie przegra.

Do Częstochowy przybyliśmy bez przeszkód, ale w drodze obserwowaliśmy pociągi przepełnione bagażem i ludźmi uciekającymi z Warszawy. Na stacjach dużo niespokojnych, zatrwożonych postaci. Było to w przededniu bitwy o Warszawę, nazwanej przez głupców cudem nad Wisłą.

W Częstochowie umieszczono nas w prywatnym szpitalu chirurgicznym (nazwisko właściciela zapomniałem). Szpital ten znajdował się w pobliżu torów kolejowych. Między szpitalem a torami była łączka, na której rosło kilka drzew owocowych; zainstalowano tam urządzenia gimnastyczne i pochylnie do leżenia. Całą gospodarką zarządzała żona właściciela – dyrektorka szpitala. Pod jej troskliwą opieką żołnierze byli stale głodni, pozbawieni dostatecznej ilości środków opatrunkowych, czystej bielizny itp.

Umieszczono mnie w siedmioosobowej sali na żołnierskim oddziale. W dniu, gdy byłem ranny, dowódca kompanii wręczył mi pismo, w którym prosił o oficerskie traktowanie dla mnie, gdyż wiadomo mu, że byłem oficerem w wojsku rosyjskim. Mam to zaświadczenie u siebie do dziś, ale nie przyszło mi do głowy wtedy je okazać. Byłem bardzo rad i dumny z tego, że jestem, jak byli moi dziadowie, żołnierzem polskim.

Moi koledzy byli młodymi chłopakami, przeważnie ze wsi, weseli i głodni. Usługujące sanitariuszki dokarmiały nas dojrzewającymi owocami z ogrodu właściciela. Wystarczyło, aby w szpitalu wybuchła czerwonka – plaga wojny 1920 r. Przechodziłem ją bardzo ciężko. Jest to cierpienie trudne do zniesienia. Co kilka minut następuje bolesne wypróżnianie krwią i śluzem i biada tym, co leżą na piętrowych łóżkach pod chorymi. Gdy po kilku dniach przyje-

chała do Częstochowy moja siostra, nie od razu mnie poznała. Z twarzy mej pozostały oczy i nos; stawy przekształciły się w kule, z których wyrastały piszczele – ostatni stopień wychudzenia.

Gdy minął najgorszy okres choroby, brałem w życiu sali udział życzliwy, ale bierny. Słuchałem chętnie rozmów żołnierskich, krótkich i dosadnych określeń. Sporo było okolicznościowych zwrotów...

W październiku, na skutek zabiegów mojej siostry, nadeszło polecenie przeniesienia mnie do Warszawy, do szpitala mokotowskiego. Dyrektorka szpitala, w którym byłem dotąd, kazała mi oddać bieliznę i szlafrok, i poleciła włożyć na gołe ciało trupi mundur. Olbrzymie spodnie i kurtkę z pokrzywowego sznura; strój, w którym grzebano zmarłych żołnierzy. Siedziałem z konwojentem w pustym przedziale. Noc październikowa była bardzo chłodna; szczękałem zębami, podobnie zresztą jak o wiele cieplej ubranym konwojent.

Nie spotkałem w życiu bardziej cynicznego przywłaszczyciela od dyrektorki szpitala w Częstochowie.

Na dworzec gdański przybyłem siny, sztywny, krańcowo wyczerpany. Plac przed dworcem zajmowały szeregi noszy z leżącymi na nich rannymi, rozwożonymi stopniowo do szpitali. Między rannymi starsi panowie roznosili gorące napoje i czerwone wino; oni też ładowali chorych do sanitarek. Był to wyjątkowy okres jedności narodu w naszej historii. Powtórzył się on w 1945; wprawdzie trwał dłużej, ale jedność nie była tak bezwarunkowa. Po 1920 roku bardzo szybko zapomniano o wdzięczności w stosunku do żołnierzy i o ich walce i losie.

Po sprawdzeniu, czy żyję, wzięto moje nosze i ustawiono je obok otwartych tylnych drzwi w aucie; mogłem oglądać fragmenty miasta – legendy mojego dzieciństwa. Jechaliśmy ulicą Miodową i – obok znanej dobrze z ilustracji Kolumny Zygmunta – wjechaliśmy na Krakowskie Przedmieście

i Nowy Świat; z Nowowiejskiej wjechaliśmy na podwórko szpitala mokotowskiego.

Wprost z auta wniesiono mnie do łazienki i razem z bandażami wrzucono do ciepłej wanny. Po raz drugi od chwil spędzonych w parku w Rokitnie doznałem uczucia zadowolenia i całkowitego spokoju.

W tym szpitalu przypominałem sobie – po wielu latach – jak smakuje mleko i jaja. Głódówka w Częstochowie była ostatnim etapem wielkiego głodu lat 1917-1920. Od tego czasu nie zaznałem już głodu. Natomiast śniadania i obiady w szpitalu mokotowskim wydawały mi się rozpustą i niesprawiedliwością społeczną; jednak do wycieńzonego organizmu z trudem trafiały wyrzuty sumienia.

Po paru tygodniach przeniesiono mnie – jako rekonwalescenta – do głównego gmachu Politechniki.

Wojna się kończyła, trwały pertraktacje pokojowe w Rydze. Wojna, gdy wybuchnie, błyskawicznie przenika cały kraj; ale ustępuje powoli. Długo jeszcze po jej zakończeniu umierają lub wracają do zdrowia w szpitalach ranni; działają sztaby, trwa gospodarka wojenna; trwa jeszcze wielkie przemieszczenie ludzi i instytucji. Przystronny, skomplikowany gmach Politechniki Warszawskiej nie służy jeszcze wracającej z wojny młodzieży. Na dole w salach dookoła ogromnego hallu mieszczą się oddziały sztabu St. Hallera.

W półmroku wieczoru przesuwają się sylwetki żołnierzy i oficerów. Wyżej na krużganku hallu w przyległych korytarzach snują się bezszelestnie chorzy w szlafrokach i pantoflach. Wieczorami w amfiteatralnych salach wykładowych występują najlepsi artyści polscy: Comte-Wilgocka, Redo Fertner i inni. Studenci jeszcze na wojnie, ale studentki odwiedzają często sale Politechniki; występują co prawda w innej roli: przynoszą chorym wieści ze świata, książki, radość i nowe życie – wojna wygrana! Niezapomniane dni; nigdy więcej się nie powtórzą.



Pociąg sanitarny

W gmachu Politechniki leżałem w bardzo dużej widnej sali przy samym oknie. Obok mego stało łóżko Witolda Jabłońskiego, studenta Uniwersytetu (późniejszy dziekan Wydziału Filologicznego), i Mittelstedta, ziemianina z poznańskiego – obaj szeregowcy 205 pułku piechoty. Stanowiliśmy wyjątkowo dobrane towarzystwo. Jabłoński znał dobrze francuski i studiował w szpitalu niemiecki czytając Fausta Goethego. Dzielił się z nami swymi uwagami o literaturze niemieckiej. Odwiedzali go od czasu do czasu rodzice – właściciele ziemscy z plockiego.

Wśród odwiedzających szpital pań, niosących żołnierzom pomoc i otuchę, dał się zauważyć wyraźny antagonizm. Należały one do rywalizujących ze sobą obozów: socjalistycznego i narodowo-demokratycznego. Zdałem sobie wtedy sprawę, że Polacy mogą być dla siebie nieżyczliwi. Na Wschodzie być Polakiem to było wszystko. Tutaj okazało się, że jest się nie tylko Polakiem, ale jakimś Polakiem.

Odwiedzali nas także goście z zagranicy. Panie ze Szwajcarii obdarowały nas czekoladkami i prosiły, abyśmy napisali do ich córek. Nie spełniliśmy obietnicy; w tym przypadku zawinili więcej Jabłoński i Mittelstedt, którzy lepiej ode mnie znali francuski.

Po pewnym czasie rozpocząłem naukę chodzenia na szcudłach. Początek był fatalny. W ubikacji pośliznąłem się i upadłem na brudną podłogę. Był wieczór i byłem sam. Z największym trudem wstałem i z całą wyrazistością i wstrętem uświadomiłem sobie nędzę dalszego istnienia. Straciłem zaufanie do sprawnego w przeszłości ciała. Przeżyłem ten upadek jak katastrofę. Kilka dni minęło, nim zdołałem włączyć się do dalszego życia. W podobny sposób, ale o wiele słabiej zareagowałem, gdy dokładnie po 40 latach – także we wrześniu i także w szpitalu – upadłem po zdjęciu gipsu ze złamanego biodra.

Pierwszy raz wyszedłem na miasto w asyście pielęgniarki do protezowni, któ-

ra mieściła się na Pradze, przy parku, w barakach. Jadąc tramwajem przyglądałem się z wielką ciekawością miastu. Różniło się bardzo od miast rosyjskich. Wielkie zagęszczenie domów i brak zieleni; ale podobało mi się.

Po pewnym czasie zdecydowałem się na samotny spacer do Łazienek. Przeczytałem napis: „Wejście tylko w europejskich strojach”. Nie byłem pewien, czy lichy pokrzywowy płaszcz wojskowy był strojem europejskim. Zrezygnowałem więc z dalszego spaceru. Moje wątpliwości spotkały się jednak z oburzeniem w szpitalu. Nie przyszło mi na myśl, że napis ten dotyczył Żydów w chałatach.

Najprzyjemniejsze chwile spędziłem u państwa Tuszków w ogródku na Politechnice. Pan Tuszko był głównym intendentem Politechniki (dyrektorem administracyjnym), miał służbowe bardzo duże mieszkanie na parterze. Weranda wychodziła na ogródek politechniczny, ze sztachetami, z którego rozciągały się miejskie ogrody kwiatowe. Obecnie stoją tam hale Wydziału Lotniczego Politechniki. Kuchynka intendenta, pani Biernacka, odwiedzała nas często w szpitalu, przynosząc utwory potetów Picadora, których znała. Zarówno pan Tuszko jak i jej mąż byli jeszcze w wojsku. Siedząc na leżaku w ogródku rozkoszowałem się ciszą i zapachem słonecznej jesieni. Oglądałem pięknie ilustrowa-

ne książki francuskie i angielskie z biblioteki pani Biernackiej.

W ostatnich dniach pobytu w szpitalu zastanawiałem się, co ze sobą począc. Nie miałem tu przyjaciół, ani nawet znajomych; nie miałem też żadnego fachu, utraciłem sprawność fizyczną. Z posiadanych przed kampanią rzeczy i odzieży pozostał mi tylko hełm. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłem. W listopadzie, dzięki odwiedzającym szpital paniom i panienkom, o moim istnieniu dowiedziała się PAP (Pomoc Akademikom Powracającym) i skierowano mnie na rekonwalescencję do Drobina koło Sobolowa (fundacji – o ile pamiętam – mecenasa Popławskiego). Spędziłem tam piękne, choć zupełnie samotne i smętne, dni. Tam też wystąpiłem po raz ostatni w roli żołnierza; co prawda w postaci ducha, jak osądziła napotkana gromadka wracająca o zmroku z cmentarza.

Dzięki staraniom tych samych osób objąłem stanowisko gospodarza Ogniska nr 1 (Domu Akademickiego) w gmachu Architektury Politechniki Warszawskiej, na ul. Lwowskiej 12. W gmachu tym mieścił się szpital; było więc tam wszystko, co było potrzebne dla domu akademickiego. Tak rozpoczęło się moje nowe życie.

Z wojska zwolniłem się w kwietniu 1921 roku, jako szeregowiec.

Nie było to jednak – jak się okazało – pożegnanie z bronią na zawsze. □



PRÓBA

Giuseppe Verdi, znany na całym świecie kompozytor, został pewnego razu zaproszony do jakiegoś prowincjonalnego miasteczka, by dyrygował swoją *Traviatą*. Naturalnie wszystko było przygotowane, mistrz miał tylko dać ostatnie wskazówki. Przez jakiś czas przysłuchiwał się próbie orkiestry, aż wreszcie zapytał:

- Bardzo ładnie, nadzwyczajnie! Tylko proszę mi powiedzieć, czyja to muzyka?

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

GABRIEL NARUTOWICZ – PREZYDENT „W FARTUSZKU”

W grudniu 2022 minęła 100 rocznica zabójstwa Gabriela Narutowicza, pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, wolnomularza. Choć sam nie odegrał wielkiej roli w strukturach polskiego wolnomularstwa, to jednak dla środowiska masonów jest postacią znaczącą, bo – jak na razie – jest jedynym reprezentantem sztuki królewskiej, który został wybrany na najwyższy urząd państwowy w Polsce. Warto przy tym nadmienić, że przynależność Gabriela Narutowicza do zakonu, choć jest bezdyskusyjna, była kwestionowana przez jego rodzinę, głównie bratanka Kazimierza.

Wiemy, że był członkiem Łoży „Wolność Przywrócona”, powołanej między kwietniem a wrześniem 1920 roku, która była jedną z ośmiu łóż tworzących 11 września 1920 Wielką Łożę Narodową „Polacy Zjednoczeni”. Jego przynależność do masonerii potwierdzają tak wiarygodne źródła jak opublikowana w 1933 *Autobiografia* Bronisława Taraszkiewicza (1892-1938), filologa, literata, publicysty, działacza lewicowego białoruskiego nurtu narodowego, posła na Sejm I kadencji, wybranego z listy Bloku Mniejszości Narodowych, *Dzienniki* Marii Dąbrowskiej, których I wybór (ocenzurowany, 5 tomów) w opracowaniu Tadeusza Drewnowskiego ukazał się w 1988 r., a wybór II (2 serie w 7 tomach) w latach 1996-1999, oraz spuścizna po Kazimierzu Szwarcenbergu-Czernym (1895-1975), prawniku, w okresie międzywojennym pracowniku służby zagranicznej, publicyście, przechowywana w Archiwum Państwowym w Krakowie.

Niestety, nie wiemy kiedy Narutowicz został inicjowany i w której loży, czy już w „Prawdzie”, do której należał Taraszkiewicz, czy w loży „Wolność Przywrócona”. W loży uzyskał najprawdopodobniej któryś z wyższych stopni (mistrza?). Natomiast według wszelkiego prawdopodobieństwa w dniu zaprzysiężenia na Prezydenta 11 grudnia 1922 był czynnym wolnomularzem, nie zdążył bowiem „uśpić się”, czyli zawiesić swojej przynależności do masonerii. Nie ma również dowodów, że to uczynił do dnia zabójstwa 16 grudnia.

O Narutowiczu powstało wiele książek i artykułów (ważniejsze przedstawiam w wybranej bibliografii) oraz, o czym chyba nie trzeba przypominać, świetny film w reżyserii Jerzego Kawalerowicza *Śmierć Prezydenta*, który miał premierę w roku 1977. Nota bene, dla wielu współcześnie żyjących Narutowicz ma twarz Zdzisława Mrożewskiego, który w tym filmie odtwarzał postać prezydenta. Należy zwrócić jednak uwagę, że zdecydowana większość publikacji poświęconych Narutowiczowi skupia się na ostatnich 7 dniach Jego życia, tj. od 9 grudnia 1922 (wybór na stanowisko) do 16 grudnia (śmierć w zamachu), a tylko bardzo nieliczne poświęcone są działalności inżynierskiej i naukowej oraz życiu osobistemu.

Gabriel Narutowicz pochodził ze średniozamożnej szlachty. Jego ojciec Jan Narutowicz (1823-1866), był właścicielem majątku Brewiki, leżącego w północno-zachodniej części Żmudzi (obecnie to pogranicze litewsko-łotewskie). Sam Jan nie zaj-



Gabriel Narutowicz

mował się majątkiem, wydzierżawił go, bo pełnił funkcje sędziego powiatowego w nieodległych Teleszach. Tam też przyszedł na świat 17.03.1865 roku Gabriel Jan, jak też starszy o trzy lata brat Stanisław (1862-1932). Ich matką była Wiktoria ze Szczepkowskich Narutowiczowa (1832-1908) trzecia żona sędziwego Jana. Po śmierci męża wdowa nie była sama w stanie zajmować się dużym gospodarstwem i wychowywać jednocześnie dzieci. Wówczas rodziną zajął się baron Antoni von Rönne (1795-1877), właściciel pałacu w pobliskim Rennowie.

Uczył to najprawdopodobniej dlatego, że Jan, gdy został aresztowany na kilka miesięcy za udział w powstaniu styczniowym, nie wydał władzom carskim barona, który wydatnie wspomagał powstańców. Von Rönne przyjął do swojego pałacu Wiktorię z synami, a Breviki wydzierżawił. Baron nie tylko uchronił rodzinę od wegetacji w podupadającym i pozbawionym gospodarza majątku, ale umożliwił młodemu Narutowiczom pobieranie nauki, zatrudniając dla nich nauczyciela Laurynasa Iwinskisa, (Wawrzyńca Iwińskiego 1810-1881), autora pierwszego litewskiego kalendarza,

znawcy folkloru żmudzkiego, propagatora języka litewskiego.

Kiedy młodzi Narutowiczowie podrośli, kontynuowali naukę w niemieckim klasycznym gimnazjum w Lipawie. Gabriel gimnazjum ukończył w 1883, jednak dopiero po rocznej przerwie, na skutek złego stanu zdrowia (gruźlica płuc), zapisał się na wydział fizyko-matematyczny uniwersytetu w Petersburgu. W 1886, na skutek rozwijającej się choroby był zmuszony do przerwania nauki i wyjazdu do Szwajcarii, do Davos. Po kilku miesiącach, w wyniku poprawy stanu zdrowia rozpoczął studia na wydziale inżynierii budowlanej politechniki w Zurychu, które ukończył w 1891.

W czasie studiów nie udzielał się politycznie, a zupełny przypadek sprawił, że u władz rosyjskich zyskał opinię „niebezpiecznego rewolucjonisty”. Przyjaźnił się bowiem z Aleksandrem Dębskim (1857-1935), socjalistą, działaczem I Proletariatu, uczestnikiem Zjazdu Paryskiego w roku 1892, na którym utworzono Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich; a w niepodległej Polsce był senatorem II kadencji z listy PPS. Otóż gdy Dębski został ranny w lesie pod Zurichem podczas wypróbowywania bomby, obawiając się rewizji poprosił Narutowicza o oczyszczenie swego mieszkania z kompromitujących materiałów. Ten wywiązał się z misji, ale przez to sam został uznany przez władze szwajcarskie za jednego z bardziej wtajemniczonych spiskowców. Znalazł się nawet na krótko w areszcie.

Jednak niebezpieczeństwo nie groziło Narutowiczowi ze strony dosyć tolerancyjnych Szwajcarów, a ze strony Rosjan, którzy zażądali, by powrócił do kraju i stał się przed władzami śledczymi. Właśnie z tego powodu Narutowicz po zakończeniu nauki na politechnice postanowił nie wracać (choć wcześniej miał taki zamiar) i wiązać się na stałe ze Szwajcarią, gdzie w 1895 uzyskał obywatelstwo (z poddaństwa rosyjskiego uzyskał zwolnienie w 1905).

Pracę zawodową zaczął w Sankt Gallen w Biurze Budowy Kolei, a później w Biurze Wodociągów i Kanalizacji. Następnie objął posadę w biurze inżynieryjnym Louisa Kürsteina (1862-1922), wyspecjalizowanym w budowie kolei, wodociągów i kanalizacji. Związanie się z tym biurem stanowiło przełom w jego karierze. Nie tylko bowiem z czasem objął w nim kierownictwo i stał się jego współwłaścicielem, ale to właśnie Kürsteiner, postać znacząca w szwajcarskim środowisku inżynieryjnym, wywarł największy wpływ na Narutowicza – inżyniera.

Pracując w biurze poświęcił się głównie projektowaniu i budownictwie elektrowni wodnych, co przyniosło mu sławę specjalisty w dziedzinie budownictwa hydroenergetycznego. To przyczyniło się m.in. do tego, że władze politechniki w Zurychu zaproponowały w 1907r. Narutowiczowi stopień profesora i objęcie katedry budownictwa wodnego.

Przyjął to wyróżnienie z ociąganiem, gdyż nie lubił dydaktyki. Pod względem naukowym nie wykazywał również wielkiej aktywności, o czym świadczy niezbyt imponująca, jak na profesora, ilość publikacji. Był przede wszystkim praktykiem, a nie teoretykiem. Jego zdaniem wszelka wiedza teoretyczna winna odgrywać wyłącznie rolę służebną wobec praktyki inżynieryjnej, a nie być tzw. „sztuką dla sztuki”. Mimo takiego podejścia do nauki, jako profesor i wykładowca cieszył się uznaniem zarówno kolegów z uczelni jak i studentów, czego dowodem było kilkukrotne obdarzenie go godnością dziekana wydziału inżynierii (1913-1919).

Podjęcie pracy na politechnice spowodowało konieczność przeprowadzki do Zurychu oraz rezygnację z pracy w biurze Kürsteina. Władze politechniki zgodziły się jednak, by Narutowicz pracę na uczelni łączył z prowadzeniem własnego biura inżynieryjnego. W biurze tym powstało wiele projektów obiektów hydroenerge-

tycznych, m.in. w Szwajcarii, Włoszech, Austrii czy Hiszpanii. Z czasem wzrost zamówień, które otrzymywało biuro spowodował, że przeciążenie pracą inżynierską zaczęło niekorzystnie oddziaływać na działalność dydaktyczną Narutowicza, a to było jedną z przyczyn złożenia przez niego rezygnacji z pracy na politechnice od początku roku akademickiego 1919.

Jako jeden z wybitniejszych europejskich twórców elektrowni wodnych i znawca zagadnień geologicznych został doceniony przez rząd szwajcarski i delegowany do Międzynarodowej Komisji Regulacji Renu, której przewodniczył w latach 1915-1920. Podczas pobytu w Szwajcarii kilkakrotnie odwiedzał Galię, a w czasie jednego z pobytów w 1911 wysunął koncepcję wykorzystania Dunajca dla celów elektryfikacji. Przeprowadził wówczas badania i zabiegał zarówno we władzach krajowych we Lwowie, jak i centralnych w Wiedniu, o pozyskanie środków na ten cel.

Do wybuchu I wojny Narutowicz stronił od polityki i działalności społecznej, skupiając się na pracy zawodowej i życiu rodzinnym.

W sierpniu 1901 poślubił Ewę Krzyżanowską, koleżankę uczelnianą, wcześniej narzeczoną pisarza Wacława Berenta (1878-1940). Siostrą Ewy była Józefa Kodisowa (1865-1940), najwybitniejsza zwolenniczka i propagatorka w Polsce filozofii i psychologii ze stanowiska empiriokrytycyzmu, rzeczniczka emancypacji i równouprawnienia kobiet. Ze związku z Ewą Krzyżanowską miał dwójkę dzieci: Stanisława (1902-1951) oraz Annę (1907-1987). Żona Ewa popadała w stany depresyjne. Złośliwi uważali, że było spowodowane niespełnioną romantyczną miłością do znanego literata, a bardziej prawdopodobne, że było związane z chorobą córki Anny. Anna bowiem we wczesnym dzieciństwie, po przebyciu zapalenia opon mózgowych, zapadła na chorobę psychiczną (jej rozwój zatrzymał się na etapie 3-letniego dziecka). Na to

wszystko nałożył się wykryty u Ewy rak, który spowodował jej przedwczesną śmierć w wieku 45 lat w lutym 1920.

Tu wypada nadmienić, że Narutowicz po powrocie do kraju zabezpieczył córkę i umieścił ją w przyklasztornym ośrodku prowadzonym przez Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo w Chełmnie. Stało to się najprawdopodobniej w czerwcu 1922, gdy jako minister robót publicznych wizytował okolice Torunia i parę godzin spędził w Chełmnie, gdzie miał sposobność odwiedzić ten ośrodek. W zakładzie tym Anna spędziła resztę życia, a jej grób znajduje się na tamtejszym cmentarzu parafialnym, obecnie pod opieką miejscowego koła przewodników. Natomiast starszy syn Stanisław niczym specjalnie się nie wyróżnił. Powrócił do Polski w 1922, po zdaniu egzaminu maturalnego w Zurychu. Jego żoną została Maria Krzyżanowska (1904-1951). Miał córkę Zofię (urodzoną w 1930). Dzięki posiadaniu obywatelstwa szwajcarskiego, po wybuchu II wojny światowej, po wielu perypetiach, udało mu się (wraz z rodziną) przedostać do Szwajcarii, gdzie pozostał do końca życia. Niejako ostatnim akcentem aktywności najbliższych Gabriela Narutowicza, były pod koniec XX w. starania wnuczki Prezydenta, Zofii Lardelli-Narutowicz, o odzyskanie willi przy Parkowej 23 w Warszawie, która pełniła funkcję prywatnego mieszkania Prezydenta, a po jego zamordowaniu przeszła na własność rodziny.

Po 1914 Gabriel Narutowicz zaktywizował się na niwie społecznej. Utworzył w Zurychu Polski Komitet Samopomocy, którego został prezesem. W 1915 wszedł do dyrekcji Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, tzw. Komitetu z Vevey, powstałego z inicjatywy publicysty i polityka Erazma Piltza (1851-1929). Głównym celem tej organizacji było niesienie pomocy materialnej ofiarom I wojny w Polsce. Komitet ten działał za pośrednictwem komitetów lokalnych rozsia-

nych wśród Polonii całego świata, w tym ponad stu w Stanach Zjednoczonych. Jego prezesem był Henryk Sienkiewicz, wiceprezesem Ignacy Paderewski.

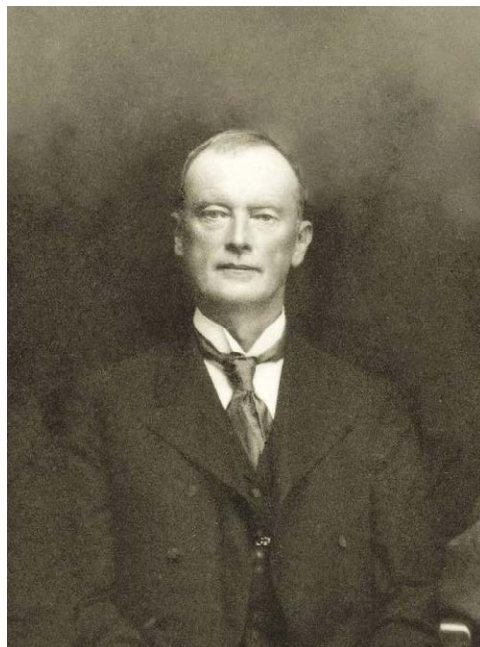
W okresie wojny Narutowicz w sporach orientacyjnych wśród Polaków starał się zachować neutralność, bez angażowania się po stronie któregoś z zaborców. Warto zaznaczyć jednak, że jeszcze przed 1914 popierał rodzący się w Galicji ruch strzelecki, któremu służył pomocą w przekazywaniu pieniędzy napływających z USA. Wówczas najprawdopodobniej narodziła się pewna jego sympatia do Piłsudskiego, z którym był spowinowacony, bowiem żoną jego brata Stanisława była Joanna Billewicz (1868-1948), kuzynka Piłsudskiego. Do mitów należy jednak, pojawiająca się w niektórych publikacjach informacja, że był z Piłsudskim zaprzyjaźniony.

A skoro tu mowa o bracie Prezydenta, to warto wspomnieć, że Stanisław Narutowicz po ukończeniu studiów (ukończył prawo na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie, choć rozpoczął na petersburskiej uczelni), osiadł w rodzinnym majątku w Brewikach. Był działaczem społecznym i politycznym, członkiem Taryby, sygnatariuszem Aktu Niepodległości Litwy z lutego 1918, radnym okręgu Telesze w latach 1919-1931. W 1932 popełnił samobójstwo. Co do motywów którego zarówno polscy jak i litewscy historycy mają różne spojrzenia. Polscy uważają, że był rozczarowany kłótnością i nieprzejednaniem Polaków oraz polityką rządu litewskiego w stosunku do Polaków na Litwie, natomiast litewscy, że przyczyną były kłopoty zdrowotne i rodzinne. Pozostawił po sobie syna Kazimierza, urodzonego w 1904, który po inkorporacji Litwy przez Związek Radziecki został zesłany do kraju Ałtajskiego, a po zakończeniu II wojny osiadł na stałe w Polsce i zamieszkał w Poznaniu, gdzie zmarł w 1987.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę Gabriel Narutowicz przygotowywał się do powrotu do kraju. Zaczął powoli likwidować swoje szwajcarskie zobowiązania, lecz głównie sytuacja rodzinna, opieka na ciężko chorą żoną, spowodowała, że na ostateczny powrót zdecydował się dopiero w 1920 roku. Wcześniej przyjeżdżał do kraju, m.in. w czerwcu 1919 na zaproszenie ówczesnego Ministra Robót Publicznych, by zapoznać się z planami regulacji Wisły na odcinku Warszawa-Modlin. Wówczas dostał propozycję objęcia stanowiska wiceministra w tym resorcie, której nie przyjął. Zgodził się jednak zostać konsultantem ministerstwa. Wcześniej odrzucił propozycję objęcia katedry budownictwa wodnego na Politechnice Warszawskiej.

24 czerwca 1920 r. premier Władysław Grabski mianował Narutowicza na stanowisko ministra robót publicznych. Informacja o tym zastała go w Hiszpanii. Przyjął ją bez entuzjazmu. Zastrzegł jednak, że ze względu na zobowiązania zawodowe urząd przejmie po ich zamknięciu i ostatecznym powrocie do kraju. Stanowisko ministra robót publicznych pełnił nieprzerwanie do 17 czerwca 1922, mimo zmieniających się gabinetów: wspomnianego Władysława Grabskiego 27.06-24.07.1920; Wincentego Witosa 24.07.1920-13.09.1921 i dwóch Antoniego Ponikiewskiego: 19.09.1921-5.03.1922 oraz 10.03-6.06.1922.

Jako minister robót publicznych przeprowadził reorganizację resortu, m.in. zredukował jego personel z 3700 do 2800 osób, zwiększając przy tym zakres prowadzonych prac. Doceniono jego zachowanie w sporze z ministrem skarbu Jerzym Michalskim (1870-1956), kiedy na obcięcie funduszy dla ministerstwa odpowiedział wnioskiem o jego całkowite skasowanie. Uważał bowiem że utrzymywanie ministerstwa, które pozbawia się środków na prowadzenie robót publicznych nie ma racji bytu. Wielu na jego miejscu, zarówno wówczas, a i dzisiaj, obawiałoby się utraty



Stanisław Narutowicz

fotela. On jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego; wiedział, że bezrobocie mu nie grozi. Zresztą jako minister zarabiał o wiele mniej niż jako budowniczy elektrowni wodnych.

Niebawem spotkał go awans w krótkotrwałym rządzie Artura Słiwińskiego 28.06-7.07.1922, oraz następnym Juliana Nowaka 31.07-14.12.1922, gdzie objął tekę ministra spraw zagranicznych. Spowodowane to było zapewne nabyciem doświadczenia, w trakcie gdy z ramienia rządu w kwietniu 1922 został delegatem na konferencję międzynarodową w Genewie, na której miało rozpatrywać sprawy powojennego systemu politycznego i ekonomicznego w Europie. Wcześniej dał się poznać także jako wysłannik do Wilna (wówczas stolicy tzw. Litwy Środkowej) z zadaniem uspokojenia antyrządowych nastrojów na Wileńszczyźnie, spowodowanych aresztowaniem działaczy litewskich. Doprowadził do zwolnienia aresztowanych, przeprowadził również rozmowy na temat przyłączenia Wileńszczyzny do Polski na zasadach pewnej auto-

nomii. Jako minister spraw zagranicznych zamierzał wzmocnić stosunki z Rumunią, doprowadzić na gruncie gospodarczym do zbliżenia z Rosją Radziecką oraz przygotować warunki do przeprowadzenia wyborów na terenie Galicji Wschodniej, której formalna przynależność do Polski nie była uznawana przez mocarstwa koalicyjne.

Tu można zaznaczyć, iż w zmieniającej się wówczas konstelacji gabinetów rządowych Gabriel Narutowicz, pełniąc urząd ministra robót publicznych i ministra spraw zagranicznych, okazał się najtrwalszym ich elementem, był ministrem o nieprzerwanym najdłuższym stażu.

Wybory do Sejmu I kadencji odbyły się 5 listopada 1922 (do Senatu miały miejsce 12 listopada). Nie przyniosły one jednak jednoznacznego zwycięstwa żadnemu ugrupowaniu, choć zdominowany przez endecję Chrześcijański Związek Jedności Narodowej (tzw. „Chjena”) uzyskał w 444 osobowej izbie najwięcej bo 36,7%, co mu dało 163 mandaty. Było to jednak za mało, by samodzielnie sformować gabinet. Drugi wynik 15,8% (70 mandatów) uzyskało Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”, które stało się dla Chjeny jedynym możliwym do zaakceptowania i ewentualnym koalicjantem. Sojusze bowiem z sejmową lewicą i blokiem mniejszości narodowych, które uzyskały po ok. 20% były dla narodowej prawicy nie do zaakceptowania. W wyniku rozmów między Chjeną a Piastem udało się stosunkowo bezproblemowo obsadzić stanowisko Marszałka Sejmu, które przypadło Piastowi, został nim Maciej Rataj, a Senatu dla Chjeny (Wojciech Trąmpczyński).

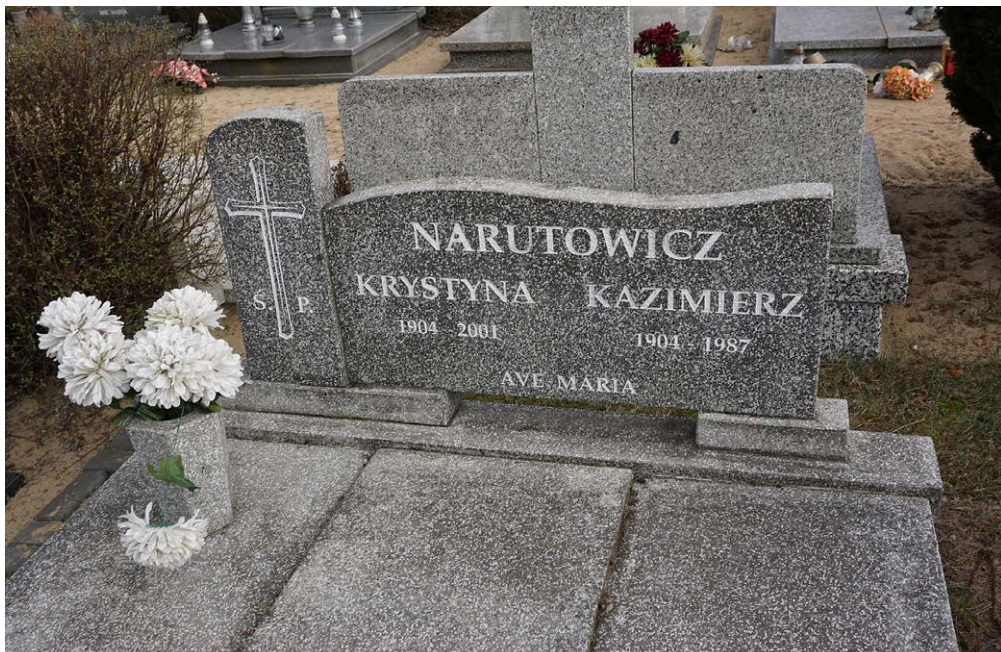
Problemy zaczęły się przy wyborze głowy państwa, którą – zgodnie z konstytucją (tzw. „marcową”) – miało wybrać Zgromadzenie Narodowe, czyli połączone izby: sejmowa i senacka. Bezwarunkowym kandydatem był Naczelnik Państwa Piłsudski, którego endecja by i tak nie poparła, ale głosy lewicy, centrum i mniej-

szości narodowych by wystarczyły; dlatego zgłaszanie kontrkandydatów w zasadzie nie miało sensu. Gdy jednak Piłsudski 4 grudnia 1922 oświadczył, iż nie będzie kandydował, to dopiero wówczas zaczęło się gorączkowe poszukiwanie kandydatów. 9 grudnia 1922 w Zgromadzeniu Narodowym w szranki stanęło pięciu. Prawica zgłosiła Maurycego Zamoyskiego, Piast Stanisława Wojciechowskiego, PPS Ignacego Daszyńskiego, Blok Mniejszości Narodowych Jana Baudouin de Courtenay, a PSL Wyzwolenie Gabriela Narutowicza.

Ostatecznie w piątym głosowaniu, gdy zostało już dwóch kandydatów, tj. Narutowicz i Zamoyski, to właśnie Narutowicz, głosami lewicy, mniejszości narodowych i Piasta został wybrany Prezydentem Rzeczypospolitej.

Zwykło się uważać, że Narutowicz z dużą niechęcią myślał o prezydenturze i dokładał starań, by jej uniknąć. To niezbyt odpowiada prawdzie. Gdy otrzymał propozycję od Stanisława Thugutta, lidera „Wyzwolenia”, nie odpowiedział od razu, lecz poprosił o dzień do namysłu. W międzyczasie udał się do Belwederu, by zasięgnąć opinii Naczelnika, który odradzał mu kandydowanie. Wiemy o tym z zapisów Piłsudskiego, zawartych w VI tomie jego *Pism*. Gdyby Narutowicz rzeczywiście chciał uniknąć kandydatury, to po pierwsze odmówiłby od razu Thuguttowi, a po drugie nie obnosił się z tym zamiarem, udając się do Belwederu po trzecie, uległby sugestiom Marszałka i nie przyjął kandydatury.

Gabriel Narutowicz od pierwszych godzin od wyboru stał się obiektem ataków endecji, która – przegrawszy głosowanie w parlamencie – przeniosła niezadowolenie na ulice oskarżając, że został wybrany głosami Żydów. Była to oczywiście brednia. Gdyby zresztą endecja uniknęła partyjnego zaślepienia, dostrzegłaby, że udział mniejszości narodowych w wyborze Prezydenta można byłoby wobec za-



Grób bratanka Kazimierza Narutowicza na cmentarzu Miłostowo w Poznaniu, pole 41 kwatery 4A rząd 4, miejsce 7

granicy przedstawić jako dowód uznania z ich strony polskiej państwowości, jako ich czynną deklarację udziału w życiu państwa polskiego i potwierdzenie, że odrodzona Polska jest państwem w pełni tolerancyjnym i demokratycznym. Prawica wybrała jednak drogę typową dla narodowców, że najważniejsze są rządy oparte na „polskiej większości”.

Szczególnie haniebną rolę w nagonce na Prezydenta odegrał gen. Józef Haller, były dowódca II Brygady Legionów i dowódca tzw. Błękitnej Armii, sformowanej w 1918 roku we Francji. Działania Hallera wsparły też kler katolicki.

Mimo niesprzyjającej i „gorącej” atmosfery politycznej, Narutowicz od momentu wyboru zabrał się do uzgodnień w sprawie mianowania nowego premiera oraz rządu. Był realistą, zdawał sobie sprawę, że większość parlamentarna która go wyniosła na urząd jest krucha i nie daje gwarancji trwałości rządów. Wysunął ideę utworzenia gabinetu pozaparlamentarnego, na którego czele miałyby stanąć Lu-

dwik Darowski (1881-1948), były (w dziewięciu gabinetach) minister pracy i opieki społecznej, oraz krótkotrwały minister spraw wewnętrznych. Narutowicz wychodził z założenia, że tę propozycję mogłaby zaakceptować zarówno lewica, bo Darowski był niegdyś związany z PPS, jak i prawica, pamiętająca jego późniejszą kartę w życiorysie.

Postawienie na Darowskiego nie przeszkadzało jednak Narutowiczowi, wbrew panującym zwyczajom parlamentarnym i poza wiedzą parlamentu, próbować skontaktować się ze swoim kontrkandydatem Maurycym Zamoyskim, który pełnił funkcje posła RP we Francji, i proponować mu stanowisko szefa MSZ. Plany te spełzły na niczym; choć Piast gotów był poprzeć Darowskiego, ale pod warunkiem, że zyska choćby ciche przyzwolenie endecji. To wywołało ostry protest PPS i PSL Wyzwolenie. Wówczas zaczął Narutowicz szukać kogoś bardziej do zaakceptowania przez prawicę i znalazł takiego. Był nim Leon Pluciński (1875-1935), zie-

mianin z Wielkopolski, członek Ligi Narodowej od 1910, były podsekretarz stanu w Ministerstwie byłej Dzielnicy Pruskiej, a wówczas komisarz generalny RP w Wolnym Mieście Gdańsku. Wysłał zatem do Gdańska swojego współpracownika z okresu pracy w MSZ Tadeusza Jackowskiego (1889-1972), który wywiązał się z misji i 16 grudnia czekał w Belwedrze na Narutowicza, by przekazać mu informację o zgodzie Plucińskiego.

Ironią losu może być to, że na strzałach Eligiusza Niewiadomskiego, fanatyka -narodowca, straciła sama endecja. Narutowicz był bowiem skłonny poprzeć rząd większościowy na czele z Plucińskim, oparty na aliansie endecko-piastowskim.

Nie wiemy oczywiście, jakim Narutowicz byłby prezydentem, czy poradziłby sobie z panującą sytuacją w Polsce, rozpolitykowanym Sejmem. Jak układałyby mu się stosunki z Piłsudskim, czy doszłoby do zamachu majowego? W końcu, jak ułożyłyby się jego relacje z kościołem katolickim, który wówczas (podobnie jak obecnie) miał znaczący wpływ na życie polityczne. Pamiętajmy, że parę godzin przed zabójstwem doszło do spotkania Narutowicza z arcybiskupem Kakowskim, traktowanego przez wielu historyków jako wizyta kurtuazyjna. A czy taka była i o czym rzeczywiście rozmawiali, tego nie wiemy i już się nie dowiemy.

Narutowicz mimo tych pytań, na które nie ma odpowiedzi, przeszedł do historii tylko jako pierwszy Prezydent wolnej Polski oraz pierwszy, który zginął w zamachu. Zamachu, który był skutkiem bezprzykładnej i wręcz obrzydliwej nagonki środowisk narodowych i klerykalnych; jako jej ofiara stał się symbolem walki z siłami, które ją wywołały. □

Wybrana bibliografia

Wydawnictwa ciągłe

Franciszek Bernaś, *Gabriel Narutowicz*, Warszawa 1979; Marek Ruszczyc, *Pierwszy*

prezydent Gabriel Narutowicz, Warszawa 1967, oraz *Strzały w „Zachęcie”*, Katowice 1987; Janusz Pajewski, Waldemar Łazuga, *Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993; Zygmunt Kaczmarek, *Trzej prezydenci II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1988; Daria i Tomasz Nałęczowie, *Gabriel Narutowicz, prezydent Rzeczypospolitej 14.12-16.12.1922 w: Prezydenci i premierzy Rzeczypospolitej*, pod red. Andrzeja Chojnowskiego i Piotra Wróbla, Wrocław 1992; *Gabriel Narutowicz Prezydent RP we wspomnieniach, relacjach i dokumentach*. Wybór i opracowanie Marek Marian Drozdowski, Warszawa 2004; Jerzy Kubiawski, Zbigniew Landau, biogram Gabriela Narutowicza w Polskim Słowniku Biograficznym, t. XXII (1977), s. 574-578; Cezary Leżeński, *Masoni bez maski*, Toruń 2006, s.152-159.

Artykuły

Alfred Liebfeld, *Inżynier jest jak Bóg. Gabriel Narutowicz – pionier energetyki wodnej*, „Przegląd Techniczny” 1974 nr 26; Wojciech Wolski, *Prezydent Narutowicz – wybitny inżynier budownictwa wodnego*, „Wiadomości Melioracyjne i Łąkarskie” 1973 nr 12; Janusz Grochulski, *Profesor Gabriel Narutowicz*, „Gospodarka Wodna” 1975 nr 5; Marek Andrzejewski, *Gabriel Narutowicz i jego rezygnacja z profesury w zuryckiej politechnice w 1919*, „Dzieje Najnowsze” 2005 nr 37/3; *Bracia Narutowiczowie*, opr. Tadeusz Fedorowicz, „Tygodnik Wileńszczyzny” , dostęp z dn. 9.11.2022 <http://www.tygodnik.lt/201807/aktualia4.html>; Waldemar Łazuga, *Narutowicz z Poznania – ludzaco podobny do stryja Gabriela, zamordowanego Prezydenta RP*, wyborcza.pl Poznań 14.12.2015, dostęp z dn. 5.12.2021 <https://poznan.wyborcza.pl/poznan/7,109268,19332330,narutowicz-z-poznania-ludzaco-podobny-do-stryja-gabriela.html>; Anna Grzeszna, *Córka i zabójca w chełmińskim grodzie*, Czas Chełmna nr 1, 2.10.1997.

Po przytoczeniu autobiografii „religijnej” prof. Tadeusza Kotarbińskiego w poprzednim numerze FMW (94) cytujemy obecnie analogiczne „wyznanie niewiary” innego światowej sławy Polaka. Oto jego biogram i dokonania w największym skrócie.

Leopold Infeld (ur. 20 sierpnia 1898 w Krakowie, zm. 15 stycznia 1968 w Warszawie) – polski fizyk teoretyk, zajmujący się głównie klasyczną teorią pola, w tym ogólną teorią względności i klasyczną elektrodynamiką. Wieloletni współpracownik Alberta Einsteina – w fizyce, popularyzacji tej nauki i jej historii – oraz jego biograf. Infeld publikował także z noblistą Maksem Bornem i sam był nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki (w 1964). Profesor uniwersytetów w Toronto i w Warszawie, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk i prezes Polskiego Towarzystwa Fizycznego (1955–1957).

Red.

LEOPOLD INFELD

RELIGIA I JA

Moi rodzice byli religijni; żyli na Kazimierzu, peryferiach dzielnicy Krakowa zamieszkaney niemal wyłącznie przez Żydów. W sprawach religii byli rzecznikami łagodnego, powolnego postępu. Linia przepisów rytualnych, których się trzymali, była ściśle zdefiniowana. Dumni byli z postępu, który uzyskali i z tradycji, którą utrzymali. Jak każda grupa żydowska na Kazimierzu, mieszała oni swój cocktail religijny w swoisty sposób przekonani, że jest on najsmaczniejszy dla ludzi i Boga, że każde odchylenie na lewo jest przeciwko istotnym regułom religii, a każde odchylenie na prawo jest niecywilizowaną oznaką przesądów religijnych. Życie zmusiło ich do zajęcia takiego stanowiska i do jego obrony.

Jeżeli żydowską religię brać dosłownie, to grzechem jest oddychanie bez równoczesnej kontemplacji wielkości jedyne Boga. Człowiek, który musi zarobić na chleb powszedni, zmuszony jest zrezygnować z wykonania pewnej porcji przepisów religijnych i postara się znaleźć usprawiedliwienie dla swych ominięć. Tak postąpili moi

rodzice. Moja mama była pierwszą w swej rodzinie, która nie obcięła włosów wychodząc za mąż i odmówiła włożenia peruki, którą nosiły wszystkie prawdziwie nabożne mężatki. Mój ojciec był pierwszym w swej rodzinie, który nosił strój europejski, a nie jedwabny chałat i czapkę z trzynastoma ogonkami, noszoną przez nabożnych Żydów w sobotę. To były granice, do których posunęli się moi rodzice. Ale w tych granicach strzegli surowo przepisów nałożonych przez religię i przez samych siebie.

Urodziłem się u schyłku wieku dziecinie. W atmosferze religii upłynęła mi młodość, która rzeźbiła lata późniejsze. Religia wkroczyła w moje życie trzema silnymi nurtami: nurtem szkoły żydowskiej – chederu, nurtem bóżnicy, nurtem domu.

Nurt chederu

Gdy miałem pięć lat, posłano mnie do chederu. Klasa była mała, ławki wąskie, twarde i boleśnie niewygodne. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że nie można było ruszać ramionami; w śpiewnym chórze powtarza-



Leopold Infeld

liśmy litery alfabetu hebrajskiego. Potem kombinacje zgłosek z samogłoskami. Powtarzaliśmy, powtarzaliśmy, powtarzaliśmy mechanicznie, dopóki litery w książce nie wywołały właściwej nerwowej reakcji i dopóki właściwe dźwięki nie wydobywały się z naszych dzieciennych ust.

Okna były szczelnie zamknięte. Będą one zamknięte przez całą zimę, aby zaoszczędzić na opale. Powietrze było ciężkie i śmierdzące. Zapach potu mieszał się z zapachem cebuli i kartofli gotowanych w sąsiedniej kuchni. Nasz nauczyciel miał różgę w rękę i ubrany był w długi, brudny i podarty jedwabny chałat, noszony przez religijnych Żydów Krakowa. Każdy z nas chłopców ma lat pięć. Nauczyciel słucha naszego śpiewnego chóru. Jego wyćwiczone ucho chwyta głos, który brzmi fałszywie. Powoli, z podniesioną trzcinką podchodzi do miejsca, z którego może mnie dosięgnąć! Boję się i staram się śpiewać głośno i dobrze. Jestem ocalony. Trzcina

uderza w mojego sąsiada. Chór pod batutą nauczyciela powtarza głośnie i lepiej nasz monotony śpiew. Uderzony chłopiec ociera łzy brudnymi palcami, a nauczyciel szuka nowej ofiary.

W południe, gdy lekcje się skończyły, nauczyciel i jego pomocnik zabierają nas grupami i odprowadzają do naszych domów. Po obiedzie zabierają nas znowu do chederu. Każdego ranka i każdego popołudnia oddychamy tym samym zgniłym powietrzem, powtarzamy i powtarzamy, dopóki nie nauczymy się czytać słów, których nie rozumiemy, słów w świętym języku, w którym Pan Bóg rozmawia z aniołami. Czytamy słowa, których nie rozumiemy; czytamy je powoli, zająkując i myląc się; potem tych omyłek jest mniej i wreszcie czytamy płynnie. Pierwszy etap naszej edukacji jest poza nami.

Gdy miałem lat sześć, posłali mnie rodzice do szkoły publicznej. Umiałem już czytać po hebrajsku. Rodzice moi uczynili to samo, co wszyscy rodzice na Kazimierzu. Posłali mnie do polskiej publicznej szkoły, do której chodziłem przed południem, a do chederu po południu.

Szkoła żydowska, do której mnie teraz posłano, była szkołą wyższą, gdyż tam już studiowano *Biblię*. Ojciec przedstawił mnie mojemu nowemu nauczycielowi, który miał ostrą twarz, długą siwą brodę i wysunięty brzuch. W rękę trzymał krótką trzcinę. Popatrzył na mnie surowo, potem otworzył książkę hebrajską i kazał mi czytać. Zadowolony z wyniku tego egzaminu, zaprowadził mnie do swego pomocnika, od którego miałem otrzymać parę indywidualnych lekcji, zanim stanę się członkiem klasy. To było regułą.

Pomocnik był młody, miał małą czarną brodkę i twarz ze śladami ospy. Położył zmiętą książkę *Biblii* na stole, otworzył ją na stronicy zestrzępionej brudem, położył drewniany wskaźnik z ostrym końcem nad pewnym hebrajskim słowem i zakomenderował: „Czytaj to”. Powoli przeczytałem

to słowo. „Powtórź”. Powtórzyłem. „Powtórź”. Powtórzyłem. I tak pięć razy. Potem powiedział słowo żydowsko-niemieckie z tym samym rozkazem: „Powtórź”. Posłusznie powtórzyłem. Po pięciokrotnych powtórzeniach umiałem obydwie słowa na pamięć nie rozumiejąc żadnego z nich. Zrozumiałem jednak, o co chodzi.

Nie rozumiałem żadnego z tych słów, ale wiedziałem, że połączone są magiczną zasadą ekwiwalencji, że, mówiąc prościej, jedno jest tłumaczeniem drugiego. Drewniany wskaźnik przeskoczył do następnego słowa. Zrozumiałem, na czym polega metoda. Po kilku powtórzeniach owego nowego słowa po hebrajsku, niemiecko-żydowskie słowo rzucone będzie we mnie. Muszę je szybko jak piłkę złapać i powtórzyć je znowu pięciokrotnie. Wskaźnik drewniany posuwał się z wolna słowo po słowie, linia po linii. W drugiej ręce pomocnik nauczyciela trzymał trzcinę. Ale widział z przebiegu lekcji, że trzcina będzie mu niepotrzebna. Położył ją więc ostrożnie na stole i uwolniwszy jedną rękę zaczął dłużyć w nosie, powoli, dokładnie i z godnością.

Po kilku takich lekcjach przyłączony zostałem do klasy prowadzonej przez siwego brodacza, by w chórze odśpiewywać tygodniowe porcje *Tory-Pięcioksięgu*. Godzinami siedzieliśmy w małym, brudnym pokoiku, po dwóch lub trzech ściśnionych, wpatrzonych w jedną *Biblię*, i powtarzaliśmy chóralnie słowa z jego niemiecko-żydowskim tłumaczeniem, słowa i ich tłumaczenie.

Każdej niedzieli rozpoczynaliśmy nowy rozdział. Szedł ciężko i wydawał się trudny. Ale powtarzaliśmy te same słowa w poniedziałki, wtorki... i z każdym dniem szło nam łatwiej, aż w piątek po obiedzie mogliśmy recytować cały rozdział zgranym chórem.

Następnego tygodnia – następny rozdział. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu spędzałem popołudnia w żydowskiej szkole, znudzony beznadziejnie, w oceanie po-

twornej nudy. Oczy moje zwracały się stale w kierunku zegara, najpowolniejszego zegara na całym świecie.

Nurt bóźnicy

Bóźnica, do której wspólnie z ojcem chodziliśmy w sobotę, była w wąskiej, biednej, brudnej uliczce Św. Józefa na Kazimierzu. Był to pokój w olbrzymim domu pełnym lokatorów. W domu tym z olbrzymim podwórzem lokatorzy stanowili ciekawą przekrój uboższej ludności dzielnicy Kazimierza. Dom był stary, ze złą kanalizacją, źle utrzymany, z powietrzem cuchnącym śmieciem i moczem.

Z moim ojcem przeszedłem owo wielkie podwórze. Potem szliśmy w lewo do wąskiego przedpokoju z kranem, z którego kapała woda pojedynczymi kroplami. Stamtąd wchodziliśmy do pokoju, w którym powietrze było gęste od zapachu futrzanych jarmulek. W pokoju były ławki, które wydawały mi się bardzo wysokie, i szafa ozdobiona haftowaną ręcznie kurtyną, którą przykrywane były rolki *Tory* ręcznie pisanej.

Ojca mego witano zawsze z wielkim szacunkiem. Był on jednym z ośmiu członków komitetu, który administrował synagogą. Miał honorowe miejsce w pierwszej ławce. Ciepło, z którym witano ojca, przenoszono i na mnie. Witano się ze mną życzliwie i częstowano mnie tabaką. Mój ojciec, tak jak inni, nakładał na ramiona jedwabny szal ozdobiony napisami hebrajskimi, z którego to szala zwisały żółte sznurki. Najpierw całował ten szal wedle przepisów, szczególnie owe żółte sznurki, a potem rozpoczął modlitwę.

Modlitwa miała swego przewodniczącego. Wyśpiewywał on pierwsze słowa każdego rozdziału, a kongregacja była jego chórem. On to wybierał melodie, nadawał modlitwie właściwą wagę i tempo. W rytuale możliwe były wariacje. Nie myśląc i nie znając znaczenia słów hebrajskiej modlitwy, byliśmy wszyscy aktorami przed-

stawienia, którego próby odbywały się co sobotę. Przez kilka minut siedzieliśmy cicho z otwartą *Biblią* przed nami, mrucząc pod nosem. Potem wstawaliśmy wszyscy wrzeszcząc tak głośno, jak tylko można było.

Szczególnie zdanie: „Słuchaj, o Izraelu! Twój Bóg jest jedyny”, wzbudzało olbrzymi entuzjazm. Niektórzy z obecnych wznosili przy tym okrzyku obydwie pięści w górę, aby przekonać Boga, że my jesteśmy jego walczącą armią. Ponieważ akcent zdania był na słowie „jedyny”, właściwą rzeczą było przedłużyć wymawianie tego słowa, wypowiadając je bardzo głośno i bardzo powoli, i zakończyć westchnieniem, w którym zawarty był smutek życia żydowskiego.

Potem znowu nastąpiła zmiana. Każdy owe szale z ramion zarzucał na głowę, wstawał, szeptał swe modlitwy bardzo cicho, kiwając się w przód i w tył, mocno wzdychając. Gdy osiągnął pewne miejsce w modlitwie, właściwą rzeczą było zrobić trzy kroki wstecz, potem trzy kroki naprzód, potem uderzyć się pięścią w pierś, potem skłonić się głęboko, potem całować owe zwisające z szala sznurki. Gdy owa cicha część modlitwy się skończyła, kantor zaczynał śpiew i cała kongregacja łączyła się w dobrze określonym przez sztywne reguły chórze.

Z początku rytuał ten wydawał mi się interesujący. Starłem się robić dokładnie to samo co wszyscy i z początku rolę swą grałem niezręcznie. Po upływie tygodni wyuczyłem się do najdrobniejszych szczegółów tego przedstawienia i cała procedura wydawała mi się coraz bardziej nudna.

Modlitwa była przerywana czytaniem odpowiedniego rozdziału *Tory*, tego samego rozdziału, który był przedmiotem naszych tygodniowych studiów. Dziwna ironia polegała na tradycji, która wszystko obracała w nonsens. Bowiem dzieciom podczas czytania tego rozdziału *Tory* – tego samego rozdziału, do którego słuchania przysto-

wywano nas przez długi tydzień męczarni – pozwalano opuszczać bóżnicę. Oczywiście korzystaliśmy z tego przywileju biegając i bawiąc się na podwórzu, obserwując intensywne życie tego domu lub siusiając w maleńkiej ubikacji z dziurą w podłodze; z powodu smrodu stęchłego moczu trzeba było wstrzymać oddech, co temu procesowi nadawało wagi i znaczenia.

Nabożeństwo sobotnie trwało koło trzech godzin, po czym mój ojciec składał pedantycznie swój szal modlitewny, wkładał modlitewnik do środka, szybko usuwał lekką kapę /kipe/ z głowy i wkładał na nią cylinder – tak szybko, aby grzech stanął przed Bogiem z gołą głową uczynić nieskończenie małym.

Powoli, wspólnie z innymi uczestnikami modlitwy, szliśmy do domu, przystając co kilka kroków, rozmawiając, gestykulując żywo, wzdłuż ulicy Św. Józefa, potem zakręcając na Krakowską, gdzie był nasz dom. Ulice też odpoczywały i przeżywały swój szabat. Wszystkie sklepy były zamknięte. Mężczyźni i kobiety inaczej chodzili po bruku ulicy w sobotę: powoli i z godnością. Mężczyźni nosili swoje futra i dziwne czapki z trzynastoma ogonkami. Tylko nieliczni (jak mój ojciec), bardziej postępowi, nosili cylindry. Kobiety i dzieci były ubrane starannie i wyglądały inaczej aniżeli w dzień powszedni. Cały Kazimierz odbijał światło boskiej glorii.

Ale nawet sobota po południu nie była wolna od zajęć. Musiałem – jak inne dzieci – pójść do mojej szkółki na 2 godziny. Nie po to, by studiować *Biblię*; na to były zarezerwowane inne dni tygodnia. Naukę w sobotnie popołudnie traktowano lekko. Boski duch pokoju dotarł i do naszej szkoły na ulicy Bożego Ciała. Nasz nauczyciel nie nosił trzcin, bo religia zabrania tego, bo biście w sobotę byłoby czymś nie na miejscu. Celem sesji sobotniej było czytanie i tłumaczenie w zwykły sposób – słowo po słowie – wszelkich przysłów i sentencji naszych ojców w rodzaju: „Mądrzy ludzie groma-



Róg ul. Św. Józefa i Bożego Ciała na Krakowskim Kazimierzu

dzą wiedzę”, „Myśli prawych są prawe, ale rady złych ludzi są oszustwem”.

Czasami nagle wyskoczyło zdanie, którego celem było zabicie buntu przeciwko silnej ręce naszych ojców: „Gdy bijesz swe dziecko trzcina, ono nie umrze. Będziesz go bił trzcina, a ocalisz jego duszę przed piekłem”.

Razu pewnego w spokojne sobotnie popołudnie przypomniano nam, że nie potrafimy przełamać muru utworzonego wokół naszych dusz. Jesteśmy wewnątrz tych murów, musimy pozostać wewnątrz nich do ostatnich dni naszego życia.

Formalności związane z ranną modlitwą wzrosły w sposób męczący dla mnie, tak jak wzrastają dla każdego żydowskiego chłopca, kiedy przekroczy on wiek lat trzynastu. Polegały one na tym, że dwa sześciany skórzane kładło się jeden na głowę, a drugi na lewą rękę. Sześciany te zawierały w środku hebrajskie święte napisy,

które powinno się trzymać przez pół godziny blisko mózgu i serca, tak aby ich treść stopniowo przedyfundowała do mózgu i serca poprzez schowek skórzany i poprzez moją skórę. Owe sześciany były przywiązane do mojej głowy i do mego ramienia skórzanymi rzemieniami.

Pewnego razu byłem chory. A więc w oczach Boga i ojca mego byłem usprawiedliwiony przed założeniem owych sześcianów na głowę i ramię. Ale w oczach Boga i ojca nie byłem dostatecznie chory, aby nie odmówić modlitw w modlitewniku. Wstałem z łóżka z bólem głowy, wziąłem modlitewnik i zacząłem mechanicznie recytować modlitwę. Ale ta procedura, do której byłem tak przyzwyczajony już, nagle wydała mi się idiotycznie bezsensowna. Czy jest możliwe, zapytałem, że Bóg słucha mej modlitwy?

Jako dziecko wyobrażałem sobie Pana Boga jako olbrzymiego Żyda z dużą srebrną

brodą, który patrzy na wszystko zza chmur. Ale gdy ten naiwny i dziecięcy obraz zniknął, nic nie zajęło jego miejsca. Modlitwy stawały się wypełnianą powinnością. W tej chwili, kiedy byłem chory, była to ciężka powinność. Byłem bardziej świadomy aniżeli zawsze, jak głupi i bezsensowny jest ów rytuał. Zamknąłem modlitewnik. Po raz pierwszy w życiu nie modliłem się.

To był początek. Podczas następnych kilku miesięcy, krok za krokiem, popełniałem wszystkie możliwe grzechy przeciwko rytuałowi. Przestałem się modlić; pisałem w sobotę; popełniłem największy grzech: w Sądny Dzień postu jadłem trefną kiełbasę w restauracji. Jak tylko mogłem, kłamałem w domu, udając, że nic się u mnie nie zmieniło. Ale katastrofa musiała przyjść. Oszustwo moje musiało być – prędzej czy później – odkryte.

Stało się to podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy nie chodziłem do szkoły. Mój ojciec, jak zwykle, wstał wcześniej, aby pójść do synagogi na swe ranne modlitwy. Ale nie czuł się dobrze i postanowił odmówić modlitwy w domu. Zamierzał użyć moich sześcianów, ponieważ jego były w synagodze.

Dzisiaj mogę zrozumieć jego uczucia. Wziął worek, w którym one leżały. Kurz na worku i wewnątrz był dowodem, że sześciany te nie były ruszane od miesięcy! Wiele lat ciężko pracował ojciec nad tym, aby w syna wszczepić tradycje żydowskie. A teraz jego syn, krew z jego krwi, kość z jego kości, oszukuje go i nie modli się. Zerwał łańcuch tradycji wiążący go z narodem żydowskim! Czerwony ze zdenerwowania, nieświadomy tego, co robi, podbiegł do mego łóżka i zaczął mnie bić pięściami.

To bicie wyrwało mnie z głębokiego snu. Uczułem grad szybkich, bolesnych uderzeń. Minęła długa chwila, nim zrozumiałem, że źródłem bicia są ręce mego ojca, które szybko i regularnie uderzają o moje ciało. Przejście od snu do pełnej świadomości było powolne. Pojąłem wreszcie, że

to nie sen, a rzeczywistość, że cięgi, które otrzymuję, są najprawdziwsze w świecie. Ze zdenerwowanego bełkotu ojca odgadłem, chociaż byłem na wpół przytomny, całą historię. Ojciec poznał się na mym oszustwie.

Gdy oprzytomniałem i gdy bicie się skończyło, miałem jedną reakcję tylko: nienawiść, nienawiść, nienawiść. Oddałbym ojcu tym samym, gdyby nie to, że od dzieciństwa uczono mnie, iż ręka podniesiona na ojca usycha i odpada. Pokój, w którym większa część mej rodziny spała, był źródłem wielkiej różnicy potencjałów skierowanych przeciwko mnie. Był tam mój obrzydliwy dziadek, pełen nienawiści do mnie. Po raz pierwszy zauważyłem śmiech zadowolenia na jego brodatej twarzy.

Mama była bezradna. Radziła mi: „Usprawiedliw się przed tatusiem i powiedz, że to się już nigdy nie zdarzy”. Moja starsza siostra dolewała oliwy do ognia, twierdząc, że dawno podejrzewała moje oszustwo. Moja ukochana młodsza siostra miała nieszczęśliwy wyraz twarzy.

Nienawiść, nienawiść, nienawiść przeciwko wszystkim i całemu memu otoczeniu. Chciałem uciec i zostawić całe to życie za sobą. Powoli nienawiść i chęć odwetu zmieniły się w uczucie wyższości. Myślałem: „Nie, oni nie są godni, aby im odpowiedzieć. Moją jedyną reakcją będzie ignorowanie ich; ucieknę z tego domu bez słowa i nigdy do niego nie wrócę”.

Ojciec nie widząc żadnej reakcji z mojej strony odczuł, że posunął się zbyt daleko. Zły i zdenerwowany, oczekiwał jakiegoś gestu, który oczyściłby i uspokoił atmosferę. Moja mama powtarzała to samo zdanie w kółko, że powinienem przeprosić ojca. Ale powiedziałem sobie: „Nie rozumieją mnie i nie rozumieją mnie nigdy. Byłem obcy w tym domu. Dość tego!”

Z tą myślą ubierałem się szybko, aby przygotować mój jedyny odwet. Nikt nie widział, co robię. Ubrałem się szybko i bez



Uczniowie chederu czytający Toruń; Polska, lata trzydzieste XX wieku (źródło: yadvashem.org)

słowa wyszedłem, zatrzasnąwszy głośno drzwi za sobą. Na schodach zauważyłem, że popełniłem dwa wielkie błędy. Zapomniałem wziąć trochę pieniędzy, które pozostawiłem na stole. Drugi błąd był jeszcze większy. Zapomniałem w pośpiechu i zdenerwowaniu zabrać zimowy płaszcz. Zbyt dumny, aby wrócić, postanowiłem wyjść bez płaszcza i bez pieniędzy.

Na dworze był mróz. Zimny wiatr dął przez ulicę Kazimierza, a ja marzłem. Głodny, zziębnięty, ciągle jeszcze czujący razę ojca na swym ciele, pełen nienawiści i upokorzenia, nie mogłem myśleć jasno i nie wiedziałem, co począć. Obraz czystego pokoju i smak gorącej kawy i świeżych bułeczek tańczył przed mymi oczyma. Usłyszałem głos za sobą:

– Zwariowałeś, że chodzisz bez płaszcza w taki dzień jak dzisiejszy? Zaziębisz się. – Był to kolega ze szkoły publicznej, dobry chłopiec, gruby i niezbyt mądry.

– Postanowiłem zahartować się i chodzić codziennie pół godziny bez płaszcza. Słyszałem, że jest to bardzo zdrowo. Miałem coś kupić i zapomniałem pieniędzy. Czy możesz mi pożyczyć dziesięć centów?

Włożył rękę do kieszeni i wyjął drobne. Znalazłszy dziesięciocentówkę wręczył mi ją. Szybko ją schowałem.

– Dziękuję. Wkrótce ci oddam. Teraz muszę lecieć. Jest zimno.

W najbliższym sklepie kupiłem dwie bułki za dwa centy, wszedłem do bramy domu i zjadłem swe śniadanie. Miałem jeszcze osiem centów w kieszeni. Chociaż głód się zmniejszył, zimno było nieznośne. Ręce i twarz moja z koloru białego przeszły w czerwony, a potem w kolor niebieskofioletowy. Musiałem zdecydować się, co zrobić.

Miałem jednego przyjaciela, któremu mógłbym opowiedzieć tę historię i na którego sympatię – jak mi się wydawało – mo-

głem liczyć. Poszedłem do niego, a raczej polecałem, aby się dowiedzieć od gospodyni, że nie ma go w mieście, i że wróci dopiero o szóstej po południu. Była to godzina dziewiąta rano! Dziewięć godzin czekania! Co z nimi zrobić? Nie mogłem chodzić ulicami. Zimno i wiatr były nie do zniesienia. Uszy moje były już bez czucia.

Zastanawiając się nad tym zagadnieniem pocierałem uszy skostniałymi rękami. Gdybym bodaj miał ciepłe rękawiczki! Świadomość, że moi rodzice są nieszczęśliwi i nie wiedzą, gdzie ja jestem, dodawała mi sił. Jeszcze czułem na swojej skórze uderzenia ojca.

Gdzie pójść teraz? Nagle wpadł mi pomysł. Blisko była biblioteka żydowska z czytelnią, duża, ciepła i otwierano ją o dziewiątej rano. Tylko pięć minut drogi od miejsca, gdzie się znajdowałem. Byłem ocalony. Trzymając ręce w kieszeniach leciałem przez ulicę Dietla, skręciłem na Krakowską ku zdumieniu przechodniów.

Wszedłszy do czytelnicy wziąłem do ręki ciężką książkę starając się ją czytać. Ale nieuporządkowane myśli przeszkadzały mi nieustannie. „Teraz już nie zmarzę. Tutaj jest ciepło. Nie umrę z głodu. Mam osiem centów, to znaczy osiem centowych bułek. Mogę łatwo obejść się bez wszystkiego innego do godziny szóstej po południu, kiedy otworzę swe serce przed przyjacielem”.

Jak bardzo potrzebowałem wypowiedać się przed kimś! Jeszcze osiem godzin! Moja złość i nienawiść zaczęły topnieć w ciepłe promieniującym z pieca. Zaczęło się od mojej matki. Tak, mój ojciec powinien być ukarany. Ale ja raczej karzę moją matkę aniżeli ojca, który jest silniejszy i na pewno mniej się przejmuję.

„Moja matka się niepokoi. Nie wie, gdzie jestem. Wie tylko, że uciekłem z domu bez płaszcza. Teraz myśli o mnie i płacze”.

Ale szybko moje myśli zwróciły się w przeciwnym kierunku. O czym myśli moja matka, jeżeli płacze? O tym, że Bóg ukarał ją złym synem. Dlaczego jestem

zły? Dlatego, że się nie modliłem. Dlaczego muszę się modlić, jeżeli to jest bezsensowne? Czy muszę oszukiwać siebie, aby zadowolić ojca? Dlaczego nie mogę opuścić domu i żyć, jak żyje mój przyjaciel? Moglibyśmy mieć wspólny pokój.

Mam trochę oszczędności w banku zarobionych lekcjami, które dawałem słabym uczniom. Będzie to wystarczające na pierwsze dwa miesiące. Mógłbym zarobić więcej. Ale moja książeczka oszczędnościowa jest kasie ogniotrwałej mego ojca i nie otrzymam jej teraz. To wszystko jest beznadziejne. Muszę czekać, aż zobaczę mego przyjaciela. Miałem nadzieję, że on powie mi: „Zostań ze mną przez następne kilka tygodni i jakoś damy radę”.

Wreszcie dziewięć godzin czekania mam poza sobą. Dziesięć bułek zjedzonych i dziesięć centów wydanych. Przed szóstą po południu poszedłem do mego przyjaciela. Było bardzo zimno, chociaż wiatr był słabszy. Czekałem w jego pokoju pół godziny, patrząc przez zamarznąłą szybę na ulicę i myśląc, że nigdy już nie skończy się moja samotność. Nagle ujrzałem jego sylwetkę skręcającą ze Stradomia na Dietla. Gdy otworzył drzwi, zacząłem głośno płakać. „Uspokój się, na miły Bóg. Co ci się stało?”

Dowiedział się z mego chaotycznego, przerywanego łkaniem opowiadania, że miałem trudności w domu i uciekłem stamtąd.

– Uspokój się; przygotuję herbatę i opowiesz mi spokojnie swoją historię.

Ostawił na stole dwie szklanki herbaty, chleb, masło, ser, jedzenie, które wydawało mi się szczytem luksusu i za którym tęskniłem cały dzień. Mieszając lzy z gorącą herbatą, opowiedziałem mu historię mego długiego dnia.

Mój przyjaciel rozpoczął ojcowskie przemówienie. – Szkoda, że mnie tutaj dzisiaj nie było. Nigdy bym nie pozwolił na to, coś zrobić. Rozumiem dobrze, co czujesz, ale musisz również wejść w położenie

nie swego ojca. Mój ojciec postąpiłby identycznie i nigdy nie wpadłoby mi do głowy, aby z tego powodu uciec z domu. Gdybyś usprawiedliwił się, przeprosił, powiedział kilka grzecznych słów, całe heca byłaby zakończona. Najlepiej zrobisz, jeżeli wrócisz zaraz do domu, przeprosisz rodziców i zakończysz w ten sposób tę historię. Dlaczego nie starasz się patrzeć na to z punktu widzenia twego ojca?

Uparcie odmówiłem. – Nigdy w życiu nie będę przeproszał rodziców za to, że nie byłem hipokrytą. Nie wrócę. Nie chcę wracać za nic na świecie. Jeżeli nie pozwoliś mi przenocować u siebie, to przenocuję na ulicy, ale nie wrócę. Nie pójdę do domu.

Mój przyjaciel starał się mnie uspokoić i zapewniał mnie, że mogę zostać u niego przez noc. Była to pierwsza moja noc z dala od domu rodzinnego. Zmęczony ciężkim dniem spałem dobrze. Z rana czułem się spokojniej i lepiej. Było nawet dla mnie pewną przyjemnością to przygotowywanie śniadania i udział w niezależnym, samodzielnym życiu. Mój przyjaciel stanowczo był zdania, że powinienem wrócić do domu. Wiedziałem, że nie mam innego wyjścia. Jednak nie zmieniłem jednej ze swoich decyzji: nie będę się usprawiedliwiał i nie będę przeproszał.

– Jeżeli będą chcieli, abym ich przeprosił, to znowu opuszczę dom, ale tym razem zabiorę płaszcz ze sobą.

To było tanie bohaterstwo. Wiedziałem, że nikomu nie będzie zależało na przeprosinach, i że matka jest śmiertelnie zaniepokojona. Postanowiliśmy pójść razem. Mój przyjaciel zapewnił mnie, że porozmawia z rodzicami, zanim odda zagnubionego syna.

Drzwi otworzyła nam matka. Była blada, a oczy jej były otoczone sinymi obwódkami. Prosiła mnie, abym wszedł, i nic więcej nie powiedziała. Przemówienie mego przyjaciela zredukowało się do jednego zdania: – Tutaj jest Leopold, spędził noc u mnie.

Bardzo zmieszany, natychmiast wyszedł.

Matka była zbyt zdenerwowana, aby okazać mi wiele ciepła, i bardzo bała się, że może mnie dotknąć niebaczny słowem. Dlatego nic nie mówiła, ale postawiła na stole wszystkie specjały, jakie miała w domu, aby mi wynagrodzić dzień poprzedni. Ojciec był bardzo przygnębiony. Gdy go spotkałem, nie powiedział ani słowa i przez następne dni nie mówiliśmy do siebie. Traktowany byłem w domu jak człowiek obcy. Mój obrzydliwy dziadek chodził po pokoju mruczając do siebie: „Gdyby to był mój syn, to połamałbym mu wszystkie kości i nie wpuściłbym go więcej do domu”.

Moja starsza siostra uważała, że postąpiłem haniebnie, i w przystępie gniewu nazwała mnie „włóczęgą nocnym”. Tylko młodsza siostra i służąca okazywały mi swoją sympatię, opowiadając, jak usiłowały mnie odszukać i dać mi mój płaszcz.

Pierwsze usiłowanie, aby rozproszyć ową ponurą atmosferę domowa, przyszło od strony ojca. Rozpoczęło się trywialnymi uwagami na temat mięsa.

Wyczuwałem u niego chęć przywrócenia spokoju domowego, ale postanowiłem nie poddawać się. Ostentacyjnie, niemal okrutnie, unikałem wszystkich powinności religijnych, w obronie których mój ojciec zbił mnie. Myślałem dogmatycznie: „Teraz mój ojciec zgadza się z moim zachowaniem i mało go ono martwi. Więc po co była ta cała awantura? Czy jest on sadystą, który musi bić syna bez powodu?”

Tydzień czy też dwa upłynęły od mego powrotu do domu. Atmosfera była jeszcze ciągle napięta. Mieliśmy kolację, podczas której siedziałem milczący, wpatrzony w talerz, myśląc, że jestem jednak inny od mego otoczenia. Mój ojciec wyjął z kieszeni małe zawiniątko i nieśmiało gestami – w przeciwieństwie do swej zwykłej pewności siebie – powoli je odpakował. Byłem zainteresowany tym, co ojciec robi: odłożył na bok brunatny papier i sznurek, którym

paczuska była zawiązana. Równocześnie widziałem twarz matki promieniejącą radością. Wewnątrz paczuski była biała bibułka. Gdy ją rozwinął, ukazały się trzy ładne, nowe jedwabne krawaty.

– Zauważyłem, że twój krawat jest zniszczony, i kupiłem ci nowe”. – To była iskra, która wyrównała ową różnicę potencjałów pomiędzy nami. Podziękowałem ojcu, a on powiedział po prostu: – Noś je długo i zdrowo. – Od tego czasu spokój zapanaował w naszym domu.

Dlaczego ojciec zmienił swe postępowanie wobec mnie? Dlaczego jego czułość i miłość do mnie wzrastały z latami? Dlaczego później pomagał mi obrać drogę tak różną od tej. Którą pierwotnie wyznaczył swemu jedynemu synowi?

Mam wrażenie, że dzisiaj znam odpowiedź na te pytania. Jestem przekonany, że mój ojciec, gdyby miał ku temu możliwość, byłby lepszym naukowcem aniżeli ja. Bez znajomości jakiegokolwiek teorii często rozwiązywał nasze zadania matematyczne za pomocą mądrych tricków. Sam posiadał zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej. Gdy raz podczas kąpieli wytłumaczyłem mu zasadę Archimedesusa i dlaczego nasze nogi wydają nam się krótsze w wodzie, zrozumiał wszystko świetnie i obmyślał inne zastosowanie zasad, których się właśnie nauczył.

Życie jego było ciężkie i bunt był beznadziejny. Gdy pogodził się z warunkami swego życia, starał się przekonać sam siebie, że były one znośne, a nawet dobre. Było mu to potrzebne, by czuł się zadowolony i szczęśliwy. Mój bunt wzbudził w nim wątpliwości, myśli o jego własnych zaprzeczonych możliwościach. Złość i okrucieństwo przeciwko mnie były reakcją początkowa. Potem nastąpiła zmiana. Widział w mojej walce odbicie swych niespełnionych marzeń. Zdawało mu się, że ja może osiągnę to, co powinno być jego udziałem. Nawet i później jego stosunek do mnie wahał się w górę i w dół na linii falowej tych

dwóch sprzecznych emocji. Ale w bardzo nielicznych wypadkach złość i rozczarowanie były większe od dumy i przyjaźni.

Nauczają nas: „Słuchaj ojca i matki, bo oni chcą twego szczęścia”. Z większym usprawiedliwieniem mógłbym powiedzieć: „Buntuj się przeciwko ojcu i matce, a uszczęśliwisz ich”.

W jednej z popularnych książek, które pochłaniałem w tym okresie (o ile sobie przypominam była to książka Kramsztyka) czytałem o Galileuszu, który wszedłszy do kościoła zobaczył tam chwiejący się lichtarz. Galileusz był podówczas chłopcem 17-letnim. Porównał on rytm swego pulsu z rytmem drgającego lichtarza i stwierdził, że okres wahań jest stały, chociaż amplituda jest coraz mniejsza. Narodziło więc wówczas nowe prawo przyrody: niezależność okresu oscylacji od amplitudy. Jeżeli Galileusz widział w prawach przyrody piękno, które jest odbiciem boskiej glorii, to ekstaza z powodu zrozumienia tego prawa musiała być tysiącrotnie większa aniżeli ta, która towarzyszy kontemplacji religijnej.

W tej samej książce (o ile mnie pamięć nie myli) widziałem obraz pochyłej wieży w Pizie. Szedłem za galileuszem na szczyt owej wieży, widziałem nieomal, jak z niej zrzuca ciężkie przedmioty, aby stać się pierwszym człowiekiem na naszej planecie, który zrozumiał, że wszystkie przedmioty, niezależnie od swego ciężaru, spadają w tym samym czasie, jeśli są zrucane z tej samej wysokości. To prawo tak proste, że nieomal oczywiste, odkryte zostało dopiero 300 lat temu. Dowiedziałem się, że te i inne prawa są częścią fizyki, która zajmuje się przyrodą nieożywioną.

Pewnego razu przyjechał do mnie kuzyn z Nowego Sącza. Jego matka przysłała go do wielkiego Krakowa, aby zobaczył stolicę Galicji w nagrodę za to, że zdał maturę. Ponieważ sam do gimnazjum nigdy nie chodziłem, ciekawy byłem jego wrażen i zapytałem się go, czy i jak lubi fizykę. Odpowiedział:

– Fizyka i matematyka to były najnudniejsze przedmioty. Zapomniałem wszystko, czego się o nich nauczyłem, w godzinę po maturze. Nawet biologia była lepsza. Ale był u nas jeden na wpół wariat, który był geniuszem w tych przedmiotach. Kupił sobie trzy wielkie tomy fizyki i umiał prawie tyle co nauczyciel”.

Byłem zdumiony. Czy jest dość na świecie nauki o fizyce, aby nimi zapełniać trzy wielkie tomy? Mógłbym kupić owe trzy tomy i nauczyć się absolutnie wszystkiego z fizyki. Zapytałem kuzyna, czy nie zna nazwiska autora. Tak, zna. Były one pisane przez A. Witkowskiego, profesora uniwersytetu w Krakowie.

Następnego dnia wybrałem się na ulicę Szpitalną, szukając owych książek po antykwariatach. Znalazłem trzy ciężkie, grube tomy i o długich targach stały się one moją własnością. Nie miałem pojęcia, że wiozę do domu piękne dzieło, w którym zasady fizyki wyjaśnione są z mistrzowską precyzją i jasnością, że był to podstawowy podręcznik fizyki doświadczalnej ówczesnego okresu.

Czytanie szło ciężko. Mało było tam historyjek, obrazków, mało technicznych szczegółów, tylko zasadnicze prawa i zasadnicze doświadczenia. Po dwudziestu stronach utknąłem. Ukazały się symbole \sin , \cos . Nie wiedziałem, co one znaczą. Dowiedziałem się, że aby zrozumieć fizykę, trzeba posiadać głębszą znajomość matematyki niż moja. Znowu wybrałem się na ulicę Szpitalną w poszukiwaniu podręczników matematyki.

Z radością i bólem posuwałem się wolno poprzez stronicę tej książki. Owe stronicę pozwoliły mi zbudować nieprzebyty mur wokoło siebie. Widziałem w nauce ucieczkę przed rzeczywistością, źródło rozkoszy i przyjemności, o których istnieniu nie miałem poprzednio pojęcia.

Odośniki z tych książek prowadziły mnie do nowych ścieżek. Zaczęłem gromadzić biblioteczkę książek fizyczno-ma-

tematycznych. Wszystkie pieniądze, które otrzymywałem od rodziców lub które zarabiałem lekcjami, wydawałem na książki. Powoli zrozumiałem, że nauka to nie księga zamknięta, ale organizm pulsujący życiem, zmienny i rozwijający się nieprzerwanie. Powoli zrozumiałem, że oto uzyskałem pierwsze, pobieżne i zamglone, spojrzenie na wielką i piękną ziemię obiecaną. Pragnąłem się uczyć fizyki i zostać fizykiem.

Nigdy nie przyciągała mnie do fizyki jej strona inżynierska. Nigdy w swym życiu nie wykrzesalem z siebie żadnych zdolności mechanicznych. Moje ręce nigdy nie pracowały – wstydzę się przyznać. (Jestem zawsze tak gotów wstydzić się mych próżnujących rąk, że podejrzewam siebie, iż jestem dumny z tego, że rąk moich pracą nie splamiłem.) W fizyce ukochałem ścisły charakter jej rozumowań; wydawało mi się cudowne, że tyle skomplikowanych faktów można było wydedukować z kilku prostych zasad.

Zaczęłem wierzyć w istnienie praw natury zawsze i wszędzie. Przypominam sobie żywo zdanie z jednej z książek Poincarégo, które wówczas pochłaniałem: „Największym cudem na świecie jest to, że cuda się nie zdarzają”. W tym zdaniu słowo „cud” użyte jest w dwóch przeciwnych znaczeniach. Raz jako coś, dzięki czemu złamać można prawo przyrody, a drugi raz jako coś, dzięki czemu prawa przyrody nie mogą być nigdy gwałcone. Tutaj będę używał słowa „cud” w pierwszym, bardziej pospolitym znaczeniu, jako określenie czegoś, dzięki czemu można złamać prawa przyrody.

Wiara w religię wiąże się z wiarą w cuda, z wiarą w możliwość przełamania praw przyrody. Religia bez cudów to religia bez zmartwychwstania – które oczywiście byłoby cudem największym – to religia bez życia pozagrobowego, bez piekła i bez nieba, w której zasady etyczne nie obumierają, bo one czynią życie społeczeństwa prostszym i wygodniejszym, a nie dlatego, że

Bóg notuje buchalteryjnie sumy grzechów i cnót każdego z nas. Cóż pozostaje z takiej religii? Czy religia bez Boga osobowego, który wtrąca się nieustannie w nasze życie codzienne, zasługuje na nazwę religii? Spinoza i Einstein odpowiedzieli na to pytanie: tak. Dla nich własna wiara w niezłomne prawa rządzące wszechświatem jest religią, wiarą w Boga.

Tutaj znowu pojęcie Boga występuje w dwóch przeciwstawnych znaczeniach. Raz jako Bóg-osoba, która nagradza i karze. Drugi raz jako coś, co nie może ani nagradzać, ani karać – jako wszechświat rządzący się niezłomnymi prawami. Oczywiście wiele jałowych dyskusji polega na tym, że pojęcia w nich użyte są źle zdefiniowane. Rozważmy najpierw pojęcie Boga w tym pierwszym, nie Einsteinowskim znaczeniu, jako Boga osobowego.

Jeżeli takie pojęcie Boga łączymy ze sprawą religii, a sprawę religii ze sprawą wyznania, to trzeba powiedzieć to wyraźnie: dogmaty tego wyznania są równie sprzeczne z nauką dzisiaj, jak były w czasach Kopernika i Galileusza. A jak z pojęciem Boga Spinozy i Einsteina?

Kiedy Napoleon zapytał Laplace'a, dlaczego w jego pięciotomowym dziele nie ma słowa „Bóg”, odpowiedział mu: – Ta hipoteza nie była mi potrzebna. – Istotnie, jest to słowo wyrażające metafizyczne emocje, gdy patrzymy na niebo gwiazdyste lub przez mikroskop na bakterie – słowo bez racjonalnego pokrycia.

Jakże to się dzieje, zastanawiałem się często, że wielu naukowców, przyrodników, fizyków jest religijnych? Pamiętam, że gdzieś czytałem (czy nie u Anatola France'a?) o rozmowie pomiędzy dwoma lekarzami naukowcami; jeden z nich wierzy, drugi jest ateistą. Ateista zwraca się do wierzącego:

– Jakże ty, jako lekarz, możesz wierzyć w cud niepokalanego poczęcia? – Na to ów wierzący: – Czy naturalne poczęcie nie jest większym cudem?

W tym pytaniu i odpowiedzi widzimy tę samą dwuznaczność w określeniu słowa „cud”, o której była poprzednio mowa. Ateista używa słowa „cud” w sensie czegoś, co łamie prawa przyrody. Wierzący używa słowa „cud” jako istnienie praw trudnych do zrozumienia, ale zawsze obowiązujących przyrodę.

Ten dialog jest więc sofistyką, która nie daje odpowiedzi na pytanie, dlaczego inteligentni ludzie nauki wierzą. Nie sądzę, aby istniała racjonalna odpowiedź na to pytanie. Sprawy religii są na ogół zamknięte w szufladach mózgowych i trudny jest do nich dostęp. Jako młody człowiek próbowałem niejednokrotnie dyskusji na ten temat. Przechodziły one z natury rzeczy w sferę emocji, w której argumenty rozumowe zawodzą. Teraz dyskusji takich nie podjąłbym. Rozumiem bowiem, że obydwa zdania: „Bóg istnieje” oraz „Bóg nie istnieje” są pustymi zdaniami, bez treści racjonalnej. Poza tym wiek oraz współpraca z Einsteinem nauczyły mnie tolerancji dla cudzych poglądów.

Nie chodzi mi o atakowanie religii, zależy mi – w tym, co piszę – na czymś innym: na obronie mego stanowiska. Na wytłumaczeniu, dlaczego w moim przypadku odwróciłem się od religii. Przygotowując te strony czerpałem ze wspomnień osobistych, które napisałem 20 lat temu, gdy byłem w USA i w Kanadzie. Pragnę, aby w okresie, kiedy nietolerancja religijna się zwiększa, moje stanowisko ateistyczne było tolerowane. Wiem, że nietolerancja jest sprawą wielu milionów ciemnych ludzi. Wiem, że moje słowa dotrą zaledwie do kilku tysięcy. Z tych przekonać potrafię tylko kilku; dla tych kilku napisałem te słowa. □

„Religia
i ja”, wyd. Książka i Wiedza,
Warszawa 1981

ANDRZEJ KANSY

DZIEJE I WSPÓŁCZESNOŚĆ WSPÓLNOT MARIAWICKICH NA ZIEMIACH POLSKICH

Powstanie i rozwój wyznań mariawickich wpisuje się w próby odnowienia życia religijnego w Królestwie Polskim i związane jest z aktywnością Marii Franciszki Kozłowskiej, założycielki Zgromadzenia Sióstr Ubogich św. Matki Klary w Płocku. Pod koniec XIX w. Kozłowska doznała objawień Jezusa, co zapoczątkowało szereg działań na rzecz odnowy moralnej duchowieństwa. Miało się to urzeczywistnić w wyniku praktykowania kultu maryjnego. Do realizacji tych celów Kozłowska powołała Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów. Nazwa mariawita pochodzi od łacińskich słów „*Mariae vita*”, oznaczających „życie Marii”.

Na początku XX w. rozpoczęto starania o zatwierdzenie ruchu w ramach Kościoła Rzymskokatolickiego. Zakończyły się one niepowodzeniem oraz wykluczeniem ze wspólnoty i ekskomunikowaniem Kozłowskiej i Jana Marii Michała Kowalskiego na mocy dekretu Kongregacji Świętego Oficjum. W konsekwencji mariawici rozpoczęli w działalność jako nowe wyznanie na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów Cesarstwa Rosyjskiego pt. *O wydaniu tymczasowych przepisów, dotyczących sekty mariawickiej* zatwierdzonego w 1906 r. Wkrótce podczas posiedzenia pierwszej Kapituły Generalnej Kapłanów Mariawitów uregulowano pod względem prawnym działalność Związku Mariawitów Nieustającej Adoracji Ublągania. Struktura organizacji obejmowała trzy prowincje: warszawską, której kierownictwo powierzono J. M.

M. Kowalskiemu, lubelską, z Romanem Marią Jakubem Próchniewskim na czele i płocką, którą objął Leon Maria Andrzej Gołębiowski. Prowincje dzieliły się na okręgi, te zaś na gminy. Władzę w Związku Mariawitów sprawował Minister Generalny. W wyniku wyborów funkcję tę objął ks. Kowalski. Podczas Kapituły postanowiono, że msze święte oraz obrzędy religijne będą odprawiane w językach narodowych.

Kolejne uregulowania znalazły się w Ustawie Parafii Mariawickich z 1909 r. zatwierdzonej przez ministra spraw wewnętrznych Cesarstwa Rosyjskiego. W tym też roku Kościół mariawicki został przyjęty do Unii Utrechckiej, zrzeszającej kościoły starokatolickie. Umożliwiło to wyświęcenie na biskupa J.M.M. Kowalskiego przez arcybiskupa Utrechtu Gerarda Gula. Dzięki temu uzyskano możliwość konsekrowania nowych biskupów oraz wyświęcania księży. W celu podkreślenia związku z kościołami starokatolickimi zaczęto używać nazwy Staro-Katolicki Kościół Mariawitów.

W 1912 r. Rada Państwowa i Duma Państwowa Cesarstwa Rosyjskiego przyjęła *Prawo o wyznaniu mariawitów*. Życzliwość dla nowego wyznania i wykonywane przez wysokich urzędników rosyjskich gesty można odczytywać jako próbę osłabienia Kościoła Rzymskokatolickiego. Powstanie i rozprzestrzenianie się mariawityzmu, działalność Kozłowskiej i kapłanów mariawickich spotkały się za to z niechęcią ze strony polskiego społeczeństwa, czego świadectwa można odnaleźć m.in. w pra-



Biskupi mariawicy. Od lewej do prawej: bp R. M. J. Próchniewski, bp J. M. M. Kowalski, bp L. M. A. Gołębiowski. (Narodowe Archiwum Cyfrowe.)

sie z tego okresu. Pisano o licznych sporach oraz procesach sądowych mariawitów i rzymskokatolików.

Jednym z najważniejszych wydarzeń w historii wyznania było wybudowanie w 1914 r. Świątyni Miłosierdzia i Miłości w Płocku. Pozostaje ona centralnym obiektem dla wszystkich mariawitów oraz celem pielgrzymek starokatolików z całej Europy.

Pierwsi mariawici pochodzili w większości ze środowisk chłopskich i robotniczych. Według szacunków różnych badaczy na początku wspólnota liczyła ok. 60 tysięcy osób, w 1912 r. było ich już ok. 180 tysięcy. Zamieszkiwali obszar Mazowsza, Lubelszczyzny i Siedlecczyzny. Mariawici mieszkali ponadto w guberniach mińskiej, kowieńskiej i wileńskiej. Zorganizowano także parafie w Sosnowcu i Częstochowie.

Aktywność Kościoła przejawiała się przede wszystkim w tworzeniu struktur i rozwoju instytucji, a także działalności społecznej. Prowadzono ochronki i szko-

ły, przytułki dla starców i kalek, zakłady rękodzielnicze, sklepy i spółdzielnie, gospodarstwa rolne oraz piekarnie i pasieki. Zakładano kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, apteki i placówki lecznicze. Budowano wielorodzinne budynki mieszkalne dla wiernych. Kościół zakupił w okolicach Płocka ziemię, którą przekazał na własność ubogim parafianom. Pozostałą część przeznaczył na siedzibę zakonu żeńskiego. Na cześć założycielki mariawityzmu powstała w ten sposób wieś nazwano Felicjanowem. Mariawici otwierali czytelnie, organizowali wykłady i odczyty dla różnych grup odbiorców oraz kursy dla analfabetów. Prowadzili także działalność wydawniczą. W 1907 r. rozpoczęto wydawanie pisma pt. „Mariawita. Czciel Przenajświętszego Sakramentu”. Z jego wykorzystaniem realizowano m.in. funkcje: formacyjną, edukacyjną i integracyjną.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. sytuacja prawna mariawitów okazała się skomplikowana. Mogli oni bez przeszkód prowadzić działalność na terenach byłego zaboru rosyjskiego na podstawie dawnego prawa rosyjskiego, ale nie było to możliwe na terenach byłych zaborów pruskiego i austriackiego. Brakowało tam bowiem odpowiednich uregulowań prawnych. Ostatecznie Staro-Katolicki Kościół Mariawitów został zaliczony do wyznań prawnie uznanych.

Po śmierci M. F. Kozłowskiej w 1921 r. jej następcą został bp J. M. M. Kowalski. Wkrótce, nie mając do tego podstaw prawnych, ogłosił się arcybiskupem i rozpoczął wprowadzanie radykalnych reform w kościele. Obejmowały one m.in. ustanowienie danin na utrzymanie parafii w wysokości dwusetnej część rocznego zarobku, wprowadzenie nieważności mszy świętej odprawianej za pieniądze, zrównanie praw mężczyzn i kobiet do kapłaństwa, także do wyświęcania na biskupki. Inne zmiany obejmowały: wprowadzenie komunii świętej pod dwiema postaciami, komunię świę-

tą dzieci po chrzcie, zniesienie stanu duchownego, uproszczenie liturgii, złagodzenie postów, zniesienie spowiedzi przed kapłanem oraz wprowadzenie kapłaństwa ludowego, dopuszczenie możliwości odprawiania mszy świętej poza poświęconymi miejscami, a także wprowadzenie kultu M. F. Kozłowskiej jako Mateczki. Niektóre z tych zmian wywołały niechęć części duchownych i wiernych. Nie obyło się bez kontrowersji, gdy abp Kowalski ożenił się z zakonnicą mariawicką Antoniną Marią Izabellą Wiłucką. W ten sposób usankcjonował możliwość zawierania małżeństw pomiędzy księżmi a zakonnice. Dopuszczenie do zawierania małżeństw w sytuacji złożenia ślubów czystości stało się jednym z powodów dyplomatycznego zawieszenia stosunków z Unią Utrechcką. Poruszenie wywołała też decyzja abp. Kowalskiego o przeniesieniu Stolicy Apostolskiej z Rzymu do Płocka w 1924 r.

Zmiany w Kościele zbiegły się w czasie z procesem sądowym Kowalskiego o popełnienie czynów lubieżnych wobec siostr zakonnych i wychowanek. Proces toczył się przed sądem w Płocku w latach 1928-1931. Abp. Kowalskiego uznano winnym zarzucanych czynów i skazano na karę pozbawienia wolności, którą odbywał w więzieniu w Rawiczu.

Wprowadzone zmiany oraz kontrowersje wokół osoby J. M. M. Kowalskiego były powodem niezadowolenia części wiernych oraz duchownych mariawickich, co w konsekwencji doprowadziło do pozbawienia Kowalskiego funkcji. Po odsunięciu od władzy w Kościele skierowano go do Felicjanowa jako przymusowego miejsca pobytu. Nowym biskupem został wówczas Klemens Maria Filip Feldman. W ten sposób w 1935 r. doszło do rozłamu w liczącej ok. 40000 wiernych wspólnoty. Spowodowało to wyodrębnienie się dwóch kościołów. Zwolennicy bp. Feldmana przyjęli nazwę Staro-Katolicki Kościół Mariawitów. Jego siedziba znajdowała się w Płocku. Ko-



Starokatolicka Katedra Mariawitów, główny budynek tego wyznania w Polsce. Kościół znajduje się w Płocku, w pobliżu wału wiślanego.

ściół wycofał się z części zmian wprowadzonych przez Kowalskiego, m.in. zniesiono kult Kozłowskiej, wycofano się z możliwości zawierania związków małżeńskich księży z zakonnice, umożliwiono kapłanom podejmowanie samodzielnych decyzji o celibacie, odrzucono też kapłaństwo kobiet. Grupa związana z abp. Kowalskim utworzyła Kościół Katolicki Mariawitów z siedzibą w Felicjanowie. Zapoczątkowało to wieloletnie spory, m.in. o budynki kościelne. Natomiast relacje obu wyznań z innymi wyznaniami mniejszościowymi układały się poprawnie.

Podczas II wojny światowej i okupacji niemieckiej obie wspólnoty mariawickie poniosły dotkliwe straty. Do obozów wywieziono wielu wiernych i kapłanów. Jednym z nich był abp Kowalski, który został aresztowany za wypowiedzi w prasie mariawickiej, zawierające żądanie zwrotu Pomorza Gdańskiego oraz niepochlebne opi-

Kościoły mariawickie w latach 1906–2017

Kościół Katolicki Mariawitów 1906–1910	
Staro-Katolicki Kościół Mariawitów 1910–1967	Kościół Katolicki Mariawitów od 1935
Kościół Starokatolicki Mariawitów od 1967	

nie na temat Hitlera. Kowalski został wywieziony do obozu w Dachau, a następnie do Hartheim koło Linzu, gdzie zginął w komorze gazowej.

Po zajęciu przez hitlerowskich okupantów kościoła i klasztoru w Płocku zniszczono dokumenty archiwalne oraz zagrabiono wiele zabytkowych obiektów. Do Niemiec wywieziono maszyny drukarskie i introligatorskie stanowiące wyposażenie drukarni. Pozwolono jednak na prowadzenie w klasztorze warsztatów. Duchowni mariawicy zatrudniali w nich Polaków zagrożonych wywiezieniem do Niemiec. W pomieszczeniach klasztoru w Płocku przechowywano powielacz i radio, zaś siostry zakonne prowadziły tajne nauczanie. W czasie okupacji przedstawiciele Staro-Katolickiego Kościoła Mariawitów brali udział w utworzeniu Tymczasowej Rady Ekumenicznej i jej pracach (od 1946 r. Chrześcijańska Rada Ekumeniczna, od 1958 r. Polska Rada Ekumeniczna).

Po wyzwoleniu doszło do częściowego uregulowania działalności obu Kościołów mariawickich w nowej rzeczywistości politycznej. Sytuacja prawna wspólnot została ostatecznie uregulowana odrębnymi ustawami w 1997 r. Zapewniono w nich autonomię Kościoła Katolickiego Mariawitów w Rzeczypospolitej Polskiej i Kościoła Starokatolickiego Mariawitów w Rzeczypospolitej Polskiej.

Większą aktywnością wykazywał się Kościół Starokatolicki Mariawitów. Najważniejsze działania w drugiej połowie XX w. obejmowały odbudowę zniszczonych podczas wojny struktur parafialnych, instytucji i obiektów. Założenia ide-

ologiczne mariawityzmu oparte były na starokatolickich zasadach Kościoła Powszechnego, które zostały sformułowane podczas pierwszych siedmiu soborów ekumenicznych. Zasadniczy cel Kościoła stanowi szerzenie czci dla Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie oraz przypominanie o potrzebie wzywania nieustającej pomocy Matki Bożej. Utrzymano odprawianie mszy świętej w języku narodowym oraz bezpłatne posługi kapłańskie. Objawienia o Bożym Miłosierdziu, które otrzymała M. F. Kozłowska, należą do prawd wiary tego Kościoła. Kwestionuje on dogmaty przyjęte po rozłamie chrześcijaństwa w 1054 r. oraz nieomyślność człowieka w sprawach wiary. Nie uznaje też cudownych relikwii i obrazów o treści religijnej. W Kościele praktykowane są: spowiedź powszechna, a także komunie pod dwiema postaciami, chleba i wina.

Władzę w Kościele sprawują Synod, Kapituła Generalna, Rada Kościoła i Biskup Naczelny. Diecezjami kierują biskupi diecezjalni, parafiami – zebranie członków parafii, rada parafialna i proboszcz. Obecnie Kościół administracyjnie dzieli się na trzy diecezje: warszawsko-płocką z siedzibą w Płocku, śląsko-łódzką z siedzibą w Łodzi i lubelsko-podlaską z siedzibą w Wiśniewie. W ich skład wchodzi parafie. Kościół ten posiada również swoją prowincję w Paryżu. Rada Kościoła oraz Biskup Naczelny rezydują w Płocku. Przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości działają: Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów, Zgromadzenie Sióstr Mariawitek oraz Wyższe Seminarium Duchowne. Od 2015 r. Biskupem Naczelnym jest Marek



Dziedziniec płockiej świątyni mariawickiej

Maria Karol Babi. Kościół wydaje miesięcznik „Mariawita” i prowadzi stronę internetową.

Relacje z władzami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a po 1989 r. z władzami Rzeczypospolitej Polskiej układały się poprawnie. Podobnie jak stosunki z innymi wyznaniem, w tym z Kościołem Rzymskokatolickim. Obecnie liczba wiernych Kościoła Starokatolickiego Mariawitów wynosi ok. 22000 osób.

Felicjanowska denominacja, Kościół Katolicki Mariawitów, gromadzi ok. 1800 osób. Struktura tego Kościoła obejmuje dwie kustodie: płocko-łódzką z siedzibą w Felicjanowie i warszawsko-lubelską z siedzibą w Warszawie. Dzielą się one na parafie. W ramach Kościoła działają Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów oraz Zgromadzenie Sióstr Mariawitek. Zwierzchniczką Kościoła jest siostra biskupka Damiana Maria Beatrycze Szul-

gowicz. Nauka Kościoła Katolickiego Mariawitów charakteryzuje się kultem M. F. Kozłowskiej, która jest uznawana za wcielenie Ducha Świętego. Mariawici felicianowscy czczą Boga Jedyne w Trójcy Przenajświętszej, szeregą cześć dla Przenajświętszego Sakramentu oraz odprawiają adorację ubłagania. Do najważniejszych inicjatyw wydawniczych Kościoła należy zaliczyć pismo pt. „Królestwo Boże na Ziemi”. Ukazywało się ono w latach 1927–1939, 1946–1953 oraz 1981–1982. Oprócz funkcji religijnej pełniło ono też funkcję dokumentacyjną i informacyjną. Komunikacja między wiernymi odbywa się z wykorzystaniem profilu na Facebooku.

Pomimo licznych inicjatyw, podejmowanych przede wszystkim przez obie wspólnoty mariawickie, liczba wiernych obu wyznań stale się obniża. Kościoły nie odzyskały już nigdy dynamiki rozwoju z lat 1907-1939. □

PIOTR KRYWAK

QUO VADIS HOMO? STANISŁAWA LEMA PROROCCTWO DEHUMANIZACJI

Twórca literatury uprawiający fantastykę naukową (*science fiction*), gatunek, którego zasadniczym tematem jest zwykle obraz przyszłości, chcąc nie chcąc musi być w jakiejś mierze prorokiem. Jako wieszcz nie jest jednak nieomylny; budowane przez niego fikcyjne jutra, których kształt oparty bywa na aktualnej wiedzy, osobistym doświadczeniu, umiejętności przewidywania i talencie wizjonerskim, nigdy nie są dostatecznie precyzyjne i – jeśli się w ogóle urzeczywistniają – to tylko częściowo. Podobnie ma się rzecz z przepowiedniami futurologów. Dlatego też wskazywanie prorocctw, które mają największą szansę spełnienia się, jest zadaniem niełatwym, nacechowanym znacznym ryzykiem nietrafności. Ponadto, im większa szczegółowość prognozy, tym większe ryzyko błędu.

Tak się jakoś składa, że – w zależności od tego, czy głos w sprawie wykreowanych przez Lema wizji przyszłości zabiera humanista czy osoba o wykształceniu ścisłym – pierwszy szuka w nich zwykle refleksji dotyczących spraw ogólnoludzkich, drugi zaś ocenia prawdopodobieństwo ich naukowych i technicznych aspektów. Podejście obu do tematu jest więc zasadniczo odmienne.

Mając na uwadze te zastrzeżenia i podkreślając osobisty charakter przedstawionej dalej opinii, spośród rozlicznych wypowiedni zawartych w beletrystyce i esyście Stanisława Lema wyróżniłbym jako najogólniejszą a jednocześnie najbardziej konkretną zapowiedź dehumanizacji. Moim zdaniem pojęcie to zawiera w sobie

jednoznaczną odpowiedź na pytanie o to, dokąd prowadzi nas postęp naukowo-techniczny, a ponadto pozwala uniknąć rozważań na temat „zasług” poszczególnych dyscyplin wiedzy w procesie przepowiadanego „odczłowieczania” naszego gatunku. Prorocctwo pisarza jest na tyle ogólne, że może się ziścić, a ponadto na tyle wyraziste, że jest zdolne poruszyć wyobraźnię i zmusić do myślenia.

Nie ma chyba współcześnie drugiego myśliciela, który groźbę dehumanizacji przedstawiłby wszechstronniej i wnikliwiej, uwzględniając tak wiele wariantów i aspektów ludzkiego dążenia do autodestrukcji. Temat ten przewija się przez całą niemal prozę twórcy *Solaris*, od utworów powstałych u schyłku lat pięćdziesiątych XX w., po te, które napisał w końcowym okresie swego życia; przy czym owo dążenie okazuje się zarówno świadome jak i nieświadome.

Dehumanizację postrzega Lem dwójako. Po pierwsze, jako niezamierzony, uboczny efekt rozwoju cywilizacji, polegający na niekorzystnych przemianach mentalności człowieka. Po drugie, jako rezultat w pełni już świadomych przedsięwzięć mających na celu samodoskonalenie gatunku; korekt – jak się zdaje – nieuchronnych, lecz zatrważających, bo godzących bezpośrednio w naszą ludzką tożsamość.

Pierwszemu z wymienionych aspektów dehumanizacji poświęcony został niemal cały cykl *Opowieści o pilocie Pirxie* oraz wieńcząca go powieść Lema – *Fiasko*. Zajmując się nim pisarz dołączył do grona ta-

kich myślicieli jak Jean-Jacques Rousseau, który już w XVIII w. krytykował cywilizację i jej zgubny wpływ na istotę ludzką, czy Henri Bergson, równie gorzko ubolewający nad zanikiem – także za sprawą cywilizacyjnych przemian – intuicji, a w konsekwencji nad zubożeniem możliwości poznawczych człowieka. Do tego chóru dołączył również niebawem filozof-fantasta Herbert George Wells, który w słynnym *Wehikule czasu* prorokował degenerację ludzkości i jej podział na dwa rodzaje istot – obojętnych na wszystko, wyzbytych uczuć Elojów oraz Morloków – skrajnie prymitywnych, żyjących jak zwierzęta kanibali.

W *Opowieściach* o pilocie Pirxie częściowy zanik człowieczeństwa daje się zauważyć u bohaterów reprezentujących nową generację ludzkości, której instynkt i intuicja są już obce. Pirx, jeden z ostatnich przedstawicieli starszego pokolenia, dzięki zachowaniu owych „atawistycznych” zdolności (w tym także do ulegania emocjom) wychodzi cało z opresji, z którymi nie radzą sobie młodszy, bezgranicznie ufający automatom i nieumiejący się już bez nich obejść.

Zamykająca cykl przygód Pirxa powieść *Fiasko* unaocznia nieuchronność naszej mentalnej dehumanizacji. Bohater utworu, narodzony, wychowany i wykształcony jeszcze w czasach, gdy żyło pokolenie nie do końca „odhumanizowane”, wyszedłszy po stu latach ze stanu przymusowej hibernacji, której skutkiem okazała się całkowita amnezja, musi zostać ponownie ukształtowany przez nową generację ludzi. Misja, której się podejmuje, kończy się katastrofą, mimo że – genetycznie rzecz biorąc – bohater należy do „starych”, czyli do tych, którzy zachowali jeszcze (choć w znikomym już stopniu) instynkt i zdolność kierowania się intuicją. Właśnie z tego powodu mu ją powierzono, lecz skończyła się, jak już wspomniano, tytułowym fiaskiem. Dawne cechy zanikły. W zmienionych przez historię realiach ukształtował się inny człowiek, o wiele bliższy nowej generacji niż pokolenie, z którego się wywodził.



Stanisław Lem

Opisana wyżej metamorfoza ludzkiej istoty nie wymaga, jakby się mogło wydawać, setek tysięcy lat ewolucyjnych procesów. To nie organizm zmienia się bowiem pod wpływem cywilizacji, lecz przede wszystkim psychika, osobowość, mentalność, rzecz by można „duch”. „Nośnik” umysłu, ciało, podlega zmianom tak wolnym, że niemal nieuchwytnym, on sam zaś o wiele szybciej. Dawnego człowieka przekształcić można niemal skokowo (i niekoniecznie świadomie) za sprawą wychowania, edukacji oraz doświadczeń społecznych, będących skutkiem obcowania z nową, odmienną już generacją (*Fiasko*) oraz aktualnymi realiami życia. W dwudziestym stuleciu w bardzo szybkim tempie kształtowały się przecież pokolenia o coraz bardziej zredukowanej wrażliwości i wyobraźni. Nazwano je nawet nieoficjalnie „generacjami obrazkowymi”, czyli takimi, dla których obraz w procesie komunikowania się jest ważniejszy niż zmuszające wyobraźnię do wysiłku słowo. Pierwsze dekady XXI w. zdają się potwierdzać trwałość i pogłębianie się tego zjawiska. Coraz częściej można też dziś dostrzec fenomen zaniku lub sporego ograniczenia empatii.

Człowieczeństwo w ujęciu Lema zaprezentowanym w *Opowieściach* ... jest – w przeciwieństwie do sztucznej inteligencji – sumą ludzkich niedoskonałości, słabości

i wad, których nie zdołała wyeliminować działająca bezrozumnie i ślepo ewolucja naturalna. Utwory o Pirxie uwypuklały znaczenie i wartość tego dziedzictwa, które przez człowieka rozumnego zawsze postrzegane było źle. Widziano w nim przeszkodę utrudniającą poznanie i podporządkowanie nam świata. Cały więc wysiłek ludzkości - od zarania dziejów po współczesność - skupiał się na usilnych próbach obejścia, ograniczenia lub po prostu eliminacji ewolucyjnych „niedoróbk”, zmuszających wręcz człowieka do ciągłego przezwyciężania swego kompleksu niższości. Wiodło to do stopniowego odrywania się od korzeni, zrywania więzi łączących istotę ludzką ze zwierzęcymi przodkami. Przynajmniej w sferze mentalnej.

Dopóki – jako gatunek – skupialiśmy się na otaczającym nas świecie, proces dehumanizacji postępował wolno i niemal niezauważalnie, choć był – co wykazywał Lem – realny, lecz im bliżej współczesności, tym bardziej przyspieszał. Przyszedł jednak czas na to, by uwaga ludzkości skupiła się na niej samej. W drugiej połowie XX w. wizja działań „naprawczych” zmierzających w stronę przekształcenia człowieka w istotę doskonalszą zaczęła się stawać coraz bardziej prawdopodobna. Jakkolwiek po dziś dzień większość z owych pomysłów pozostaje jeszcze fantazją, początki zostały zrobione.

Przykładem jednego z nich są działania ukierunkowane właśnie na człowieka, jeszcze nieinwazyjne, opisane przez Lema w *Wizji lokalnej*, inspirowanej po części doniesieniami o perspektywach nanotechniki i nanotechnologii. „Bystry”, niewidzialne i wszechobecne cząstki zaprogramowane tak, by w przypadku agresji obezwładnić istotę tracącą nad sobą kontrolę, nie czyniąc jej przy tym fizycznej krzywdy, mają w fikcyjnym świecie przyszłości korygować naturalną skłonność ludzi do gwałtownych, niebezpiecznych dla innych reakcji emocjonalnych. Ich stosowanie przynosi jednak

nowe, nieznanne dotąd stresy i frustracje, owocuje poczuciem bezradności i bezsilności. Mechaniczne tłumienie negatywnych emocji i reakcji człowieka zmienia niekorzystnie psychikę; kształtuje istotę – przynajmniej częściowo – ubezwłasnowolnioną, jakkolwiek w innej sferze niż niemożliwość działania zgodnego z własną wolą wynikająca z ewolucyjnych uwarunkowań.

Inne przykłady celowych posunięć korekcyjnych wiążą się już z ingerencją w strukturę organizmu, czyli z usprawnianiem tego, co było produktem naturalnej ewolucji, a co – naszym, ludzkim zdaniem – nie funkcjonowało tak, jakbyśmy chcieli. Przejawami tych działań są we współczesnych realiach takie dziedziny medycyny jak choćby protetyka i transplantologia. Ich perspektywy opisał Lem między innymi w scenariuszu słuchowiska radiowego *Czy pan istnieje, Mr. John's?* oraz w zabawnym opowiadaniu *Przekładaniec* (sfilmowanym skądinąd przez Andrzeja Wajdę). W pierwszym bohater-człowiek przekształca się w cyborga zbudowanego w większości z mechanicznych protez, w drugim w istotę złożoną – niemal jak potwór Frankensteina – z części różnych ludzi (a może i zwierząt). Kim więc – bo już raczej nie ludźmi – stają się obie postacie?

To jednak tylko wstęp do działań o jeszcze poważniejszych konsekwencjach: w *Powrocie z gwiazd* ludzkość i otaczający ją świat zmieniają się radykalnie się za sprawą „betryzacji”, zabiegu medycznego eliminującego w człowieku oraz w większych, drapieżnych zwierzętach zabójcę. Zerwaniu ulega więź z naturą, a jednocześnie odrzucone zostaje tak historyczne dziedzictwo kulturowe ludzkości, obfitujące przecież w obrazy okrucieństwa, przemocy i cierpienia, jak i jej wszelka, związana z ryzykiem aktywność. Tak głębokie są te zmiany, że jedyny „niebetryzowany”, bohater powieści, neguje ich sens i całkiem słusznie uznaje je za samookaleczenie.

To znów, w pewnej mierze, nawiązanie do prozy Herberta George'a Wellsa, ści-

ślejszy do *Wyspy doktora Moreau*. Tyle, że *à rebours*. Tytułowy bohater owej powieści próbuje „uczłowieczyć” dzikie stworzenia, rugując z ich jestestw zwierzęce instynkty i zastępując je ludzką świadomością. Wiąże się to z ogromnymi cierpieniami fizycznymi a także psychicznymi modyfikowanych istot. Zamiarem twórcy było wprawdzie tylko potępienie powszechnych w jego czasach praktyk wiwisekcji, lecz dziś fabuła utworu nieodparcie kojarzyć się może z chirurgią genetyczną i zawierać ostrzeżenie przed jej skutkami. Lem, dla odmiany, „odczłowiecza” ludzi. W obu jednak przypadkach – u Wellsa i Lema – chodzi nie tylko o celowe, ale i przymusowe zabiegi.

Nowoczesna protetyka, transplantologia a nawet pozostająca nadal fantazją „betryzacja” są jednak niczym wobec perspektyw autoewolucji, otwierających się przed ludzkością za sprawą intensywnie dziś rozwijanej inżynierii genetycznej. W prozie Lema wzmianki na jej temat pojawiają się już w *Edenie*, a rozwija je pisarz m. in. w *Podróży XXI z Dzienników gwiazdowych* czy w *Wykładzie inauguracyjnym Golema (Golem XIV)*. O ile „betryzowanie” można zaprzestać, przywracając tym samym nowej generacji pierwotną postać, o tyle modyfikowanie kodu genetycznego grozi konsekwencjami nieodwracalnymi. W wyniku wkroczenia na drogę autoewolucji powiązania z naturą znikną zapewne na zawsze, a najszlachetniejsze intencje projektantów i twórców Nowego Człowieka, nie zmieniają tego, że w rezultacie ich wysiłków *homo naturalis* przestanie istnieć.

Podłożem narodzin naszej cywilizacji zdaje się być brak akceptacji samych siebie jako ewolucyjnie ukształtowanych istot rozumnych o nader ograniczonych przez naturę możliwościach. Na tym tle rodzi się w nas bunt wyrażający się w usilnych dążeniach do likwidacji wrodzonej ułomności. Jednakże doskonałość, ku której zmierzamy, posiłkując się zdobyczami nauki i techniki, jest celem złudnym, bo nieosiągal-

nym, a ceną, jaką trzeba będzie za sięgnięcie po nią zapłacić, może się okazać kres człowieka naturalnego. Zastąpi go inna, wyhodowana w laboratoriach istota rozumna nowej generacji lub... sztuczna inteligencja pokroju tej, którą opisał Lem w *Formule Lymphatera* i której oddał głos w *Golemie XIV*, prorokując ostateczny kres i nowy początek *homini sapientis*. Jak dotąd, na straży naszej naturalnej tożsamości stoją jeszcze zakazy etyczne i uprzedzenia. Gdy jednak zostaną złamane, co przecież zdarzało się wielokrotnie w przeszłości i jakże często zdarza się współcześnie, wszystko może się zdarzyć...

Lem, wizjoner, pisarz i moralista, przez długi czas zdawał się być surowym krytykiem cywilizacji i ostatecznie prorokiem destrukcji ludzkiego gatunku, przynajmniej w jego aktualnej postaci. Ostatni okres jego działalności literackiej był jednak fazą, w której gorę – mimo ewidentnej sympatii do starej, „pocziwej”, ale wciąż jeszcze w znacznym stopniu naturalnej ludzkości – brała fatalistyczna świadomość nieuchronności zmian i ich niechętna, lecz mimo wszystko akceptacja. Proroctwo dehumanizacji, najważniejsze, jak sądzę, proroctwo Lema, zapewne się ziści, może nawet przed końcem aktualnego stulecia. I choć przeraża, pobrzmiwa w nim delikatna nuta optymizmu. Zauważmy jednak, że ostatecznie i w pełnej postaci wygłasza je nie człowiek, a gigantyczny komputer – Golem XIV, zewnętrzny, obiektywny obserwator ludzkości:

„Sądzę, że wejdziecie w wiek metamorfozy, że zdecydujecie się odrzucić całą swoją historię, całe dziedzictwo, cały ostatek naturalnego człowieczeństwa, którego obraz, wyolbrzymiony w piękną tragiczność, skupiają lustra waszych wier – że wykroczycie, bo nie ma innego sposobu – i w tym, co teraz jest dla was skokiem w czeluść tylko, dopatrzycie się wyzwania, jeśli nie urody, i jednak po swojemu postąpiacie – skoro, odrzucając człowieka, ocali się człowiek.” □

DANUTA STOLAREK

ZOE PALEOLOG – GRECZYŃKA NA KREMLU

Kim była? Pierwszą cudzoziemką w roli małżonki panującego na Rusi Moskiewskiej, babką najbardziej okrutnego cara w historii Rosji, teściową pierwszej regentki-cudzoziemki przy pierwszym cesarze Wszechrusi Iwanie Groźnym – Heleny Glińskiej?

Greczynka z pochodzenia, urodzona w latach (1443-1448) r. (dokładna data nie jest znana) na Peloponezie, zmarła w 1503 roku w Moskwie. Była bratanicą dwóch ostatnich imperatorów Bizancjum: Konstantyna XI Paleologa i Jana VIII i wnuczką imperatora Manuela II, córką Tomasza Paleologa i Katarzyny Zaccarii. Była członkinią najstarszej dynastii w Europie i Azji Mniejszej. W 1460 roku królestwo jej ojca zostało zdobyte przez sułtana Mehmeda II. Dzieciństwo spędziła w Konstantynopolu na dworze stryja, tam też wraz z braćmi otrzymała solidne podstawy wykształcenia. Od dzieciństwa interesowała się magią i astrologią, ze szczególną uwagą studiowała dzieła Pitagorasa.

Po upadku Konstantynopola w 1453 r. i zajęciu przez Mehmeda II Peloponezu jej ojciec Tomasz Paleolog uciekł na wyspę Korfu. Z Bizancjum oprócz bogactw wywiózł relikwie chrześcijańskie, w tym głowę apostoła Andrzeja. W nagrodę wraz z rodziną znalazł schronienie w Rzymie na dworze papieża Pawła II (gdzie podobno przeszedł na katolicyzm), ponieważ zgodnie z postanowieniami unii florentyńskiej panujący, którzy utracili władzę i ratowali się ucieczką, mogli prosić papieża o schronienie.

Zoe po śmierci ojca spędziła w Rzymie siedem lat (1465-1472); wówczas zmieniono jej imię Zoe na Zofija (Sofija). Otrzymała bardzo staranne wykształcenie, biegle znała grecki, łacinę, retorykę, historię, ponadto uczono ją matematyki, geografii i astronomii. Za jej edukację odpowiadał kardynał Basileos (według innych źródeł Vissarion), metropolita Nicei (obecnie miasto Iznik w północno-zachodniej Turcji). Z pochodzenia Grek był patriarchą łacińskim Konstantynopola. Był wielkim zwolennikiem unii kościoła greckiego z rzymskim i postanowień unii florenckiej, zawartej w lipcu 1439 roku na XVII soborze powszechnym.

Z kasy papieskiej na utrzymanie Zofiji i jej braci wyasygnowano 300 dukatów rocznie. Finansowano nie tylko utrzymanie, ale także edukację jej i dwóch braci: Andrzeja i Manuela. Wykształceniem rodzeństwa zajmowało się dwunastu księży. Stworzono także namiastkę jej niewielkiego dworu. Ponadto na koszt papieża były przyznane fundusze nie tylko na utrzymanie dzieci (odzież, lekarz, służba, konie), ale i fundusze „na czarną godzinę”.

Zapewniono wynagrodzenie dla profesorów, tłumacza i dwóch duchownych, oraz utrzymanie dworu. Inwestycja nie była bezinteresowna. W przyszłości zamierzano wykorzystać dzieci w interesach papieżstwa. Ojciec Zofiji zmarł w maju 1465 roku, nieco wcześniej matka. Dzieci pozostały na łasce dworu papieskiego.

Basileos z Nicei wychowywał Zofiję w duchu europejskich tradycji katolickich.

Często podkreślał, że „jako ulubiona córka kościoła katolickiego” ściśle przestrzegać będzie wszystkich jego zasad i zawsze pamiętać o wdzięczności wobec papieża za okazaną łaskę.

Zamierzenia papieżstwa nie były tajemnicą dla Iwana III i prawie trzy lata rozważał sens tego mariażu. Pozycja Moskwy jako spadkobierczyni Konstantynopola była bardzo kusząca, znacznie podniosłaby prestiż rosnącego w siłę księstwa moskiewskiego, ale nie spotkała się z powszechną aprobatą. Zdecydowanym jej przeciwnikiem był metropolita Filip, który nie tylko nie udzielił swojego błogosławieństwa temu małżeństwu, ale też groził Iwanowi III inwazją „zarazy katolickiej na świętą prawosławną Rus’”. Według niego kościół bizantyjski sprzeniewierzył się swojej spuściznie przystając na unię z Rzymem podczas soboru we Florencji w latach 1437-1439, a zdobycie Konstantynopola przez Turków było gniewem bożym wobec Bizancjum.

Iwan III postawił na swoim. Z Rzymu przywieziono portret Zofiji. Wzbudził wiele zachwyty. Nazwano go „ikoną”. Był to pierwszy portret świecki na Rusi, niestety nie zachował się do naszych czasów. Na portrecie przywiezionym do Moskwy była przedstawiona wyjątkowej urody, niebywale atrakcyjna kobieta. W źródłach rosyjskich określono go jako „ikonę Sofii”, jako że malarstwo świeckie na Rusi nie istniało aż do końca XVII wieku, a zatem i nie było właściwego słowa na określenie namalowanego wizerunku (portrety dla celów dyplomatycznych malowano według sztuki ikonowej, bardzo brzydkie, nazywając je „parsunami”). Był to pierwszy w Rosji „obraz świecki”. W wielu źródłach pojawia się informacja o kobiecie „niezwykłej tuszy, ale o bardzo bystrym umyśle”. Jedyne obecnie znany jej wizerunek sporządzono na podstawie rekonstrukcji prof. S. A. Nikitina, podczas badania grobowców kremłowskich w drugiej połowie XX wieku.



Zofija Paleolog

Za radą kardynała Vissariona papież Paweł II rozpoczął proces swatania Zofiji z owdowiałym w 1467 r. wielkim księciem moskiewskim. Dzieło poprzednika kontynuował jego następca papież Sykstus IV. Pośrednictwa w pertraktacjach z dworem moskiewskim podjął się Giambatista della Volpe. Na Rusi był znany jako Anton Frazin, ze strony papieskiej Antonio Giraldi. Ambicje moskiewskiego księcia, by stać się spadkobiercą religijnym i politycznym Bizancjum, były znane w Europie. W zamiarze papieskim Zofija powinna popierać unię florentyńską. Rosła nadzieja, że księżę odwojuje u Turków wielką część imperium bizantyjskiego w charakterze wiana dla Zofiji. Papież Paweł II w nadziei na realizację obu planów szukał zbliżenia z Moskwą.

Po długich negocjacjach zawarto kontrakt małżeński. Oczywiście przypisywa-



Herb Imperium Rosyjskiego (od 1547 r.)

no Zofiji wielkie przywiązanie do prawosławia. Podczas zaocznych zaręczyn, które odbyły się w obrządku katolickim w bazylice Piotra i Pawła 1 czerwca 1472 r., w imieniu wielkiego księcia moskiewskiego wystąpił Iwan Frazin. Na ceremonii obecni byli także: żona władcy Florencji Lorenzo Wspaniałego Clarice Orsini i nadworny poeta jej męża Luigi Pulci, oraz królowa Bośni Katarzyna. Poeta ów, w relacji dla księcia sporządził bardzo krytyczny portret Zofiji, podkreślając nadmierny makijaż, jej otyłość, podwójny podbródek, fałdy tłuszczu, niski wzrost, nadmierną gadatliwość, nazwał ją „jarmarczną trefnisią”. Zarzucił jej nadmierne eksponowanie „dwu wielkich tureckich pereł na obfitej piersi i oczy wielkie niczym spodki”. Natomiast w opisie bolońskich kronikarzy czytamy, że mimo niskiego wzrostu miała ujmujący wizerunek, zadziwiająco piękną jasną karnacją i piękne oczy.

Aby podnieść prestiż narzeczonej opowiadano o atrakcyjnych propozycjach mariaży, które ona jakoby odrzuciła ze względu na przywiązanie do prawosławia, bo pretendenci do ręki byli katolikami. Prawda wyglądała nieco inaczej. Rada Wenecka zaproponowała rękę Zofiji królowi Cypru Jakubowi II de Lisignon, który oficjal-

nie był królem Jerozolimy, Cypru i Armenii (realnie rządził tylko Cyprem), ale ten odmówił. Podobno stwierdził, że „blask jej imienia i sława przodków były złą tarczą przed okrętami osmańskimi”. Drugim pretendentem w 1467 miał być książę Caraciolo. Mimo uroczystych zaręczyn do ślubu nie doszło. W informacji przekazanej przez Watykan wśród pretendentów do ręki był także król Francji (żadne źródła tego nie potwierdzają), ale Zofija, która w głębi duszy pozostając prawosławną nie chciała wyjść za katolika (według innych źródeł) – co nie było w planach papieża.

Papież był przekonany, że cel osiągnął i Zofija, według niego bardzo przychylna papieżstwu, będzie orędowniczką przyłączenia Rusi do unii florentyńskiej. Zatem małżeństwo, jak większość wówczas, miało charakter polityczno-religijny.

Po stronie rosyjskiej trwający prawie trzy lata proces swatania przedłużał się, ponieważ małżeństwu z unitką sprzeciwiał się metropolita moskiewski Filip, obawiając się, że wychowanka papieża stanie się propagatorką katolicyzmu w Rosji. Wielki książę bardzo chciał zostać spadkobiercą imperium otomańskiego, ale wbrew stanowisku cerkwi podjął starania o mariaż dopiero w 1472 r.

Istniały pewne obawy, jak zareaguje chan Złotej Ordy (był to jeszcze okres jarzma tatarsko-mongolskiego) i Ruś była trzymana w izolacji od Zachodu. Ponadto trzydziestodwuletni wówczas Iwan III w tym mariażu widział nie tylko korzyści prestiżowo-dynastyczne, ale mówiąc dzisiejszym językiem – szansę na modernizację Rusi.

Zofija w posagu od papieża otrzymała sześć tysięcy dukatów i wiele licznych prezentów, takich jak cenna biżuteria (niestety podczas pożaru Moskwy w 1493 r., spłonął cały skarbiec Wielkiej Księżnej), w tym wiele przedmiotów, którym przypisywano wielką siłę magiczną.

W 1472 r. ze względu na wojnę między Polską a Rusią Moskiewską podróż Zofiji

odbywała się przez Niemcy do portu w Lubecy, potem przez Gdańsk, Tallin, Nowogród, Psków. Ze względu na silne sztormy na Bałtyku podróż morska trwała niemal dwa tygodnie. Przybyła do Moskwy w towarzystwie wysłanników papieskich. Zachowały się opisy bardzo uroczystych procesji, powitań Zofiji w różnych miastach europejskich (Florencja, Vicenza, Augsburg, Norymberga i innych). Witano ją nie tylko jako spadkobierczynię Bizancjum, ale i wysłanniczkę papieża, darowano wiele prezentów.

Nie bez przygód odbyła się podróż do Rosji. W Nowogrodzie Wielkim legat A. Bonumbre, reprezentujący papieża, chciał, aby przed orszakiem wniesiono do miasta duży krzyż katolicki. Wywołało to oburzenie mieszkańców, a nawet spowodowało zamieszki. Mieszkańcy wbrew zasadom gościnności chwycili za drągi, aby przepędzić z miasta „wiedźmę i heretyczkę”. Na szczęście moskwiczenie, którzy towarzyszyli orszakowi na polecenie księcia, krzyż szybko usunęli i skandal zażegnano.

Rusini incydent z krzyżem odebrali jako jawną prowokację. Metropolita Filip zagroził księciu, że jeśli krzyż zostanie wniesiony do Moskwy – on opuści miasto i wezwie wojska do obrony prawosławia. Księżę musiał wysłać bojara nie tylko z rozkazem schowania krzyża, ale i zakazał wymieniać imię papieża podczas uroczystych nabożeństw w ruskich miastach leżących na trasie podróży. Obrona wiary okazała się silniejsza od kanonów dyplomacji i gościnności. Zofija w Pskowie udała się na nabożeństwo do cerkwi i złożyła pokłon świętym ikonom. W ceremonii musiał, wbrew swojej woli, uczestniczyć legat papieski. Rozgniewany metropolita nie tylko nie dał swojego błogosławieństwa, ale na znak protestu opuścił Moskwę.

Ślubu (poprzedzonego powtórny chrztem) udzielił protopop z Kołomy Iosija (według innych źródeł Osija) jeszcze tego samego dnia po przybyciu Zofiji do Mo-

skwy w niewielkiej, pospiesznie zbudowanej drewnianej cerkiewce, obok będącego w trakcie budowy Soboru Zaśnięcia NMP. Przygnębiający widok tej drewnianej, naprędcie zbudowanej cerkiewki oraz żaloszny widok Kremla z dziurami w ogrodzeniu na zawsze pozostanie w pamięci oblubienicy i będzie bodźcem do przebudowy Moskwy i upodobnienia jej do stolic europejskich.

W przyszłości Zofija demonstracyjnie podkreślała swoje przywiązanie do prawosławia; być może nawet i na dworze papieskim wychowanka mnichów z Góry Atos w głębi duszy pozostała prawosławną. Złośliwi twierdzili, że było jej obojętne, jaką wiarę wyznaje, byleby osiągnąć ambitne cele. Dla wysłanników papieża stało się jasne – nie będzie nawrócenia Rusi, a Iwan nie stanie na czele wyprawy krzyżowej przeciwko „niewiernym”. Wysłannicy papieża powrócili z niczym. Ten symboliczny gest umocnił ją w przekonaniu, że papieństwo nie może jej przeszkodzić w odrodzeniu potęgi imperium na innym terenie. Wtedy też zrodziła się koncepcja mnicha Filoteusza (mnicha pskowskiego monasteru świętego Eleazara) o Moskwie jako III Rzymie, a „czwartego nigdy nie będzie”. Tekst dokumentu po raz pierwszy mnich przekazał najprawdopodobniej Iwanowi III, choć jego najstarsza znana wersja pochodzi z 1511 roku (list do Wasyla III). Co prawda w rosyjskiej historii „bizantyjski projekt” i idea Rosji jako III Rzymu była aktualna jeszcze w planach Katarzyny II.

Zofija do historii Rosji, zgodnie z prawosławnym obyczajem weszła pod imieniem Zofija Fomiczna (patronimikon od Tomasza – Foma). Możemy przypuszczać, że małżeństwo było szczęśliwe, przyszło w nim na świat dwanaścioro dzieci (według innych źródeł dziewięcioro – pięciu synów i cztery córki, być może nie uwzględniono dzieci zmarłych w niemowlęctwie).

Przyjmując chrzest i zaślubiny w obrządku prawosławnym, Zofija definitywnie zrywa z papieństwem i grzebie nadzie-

je papieża na realizację postanowień soboru florentyńskiego. Zamiast katolicyzować Ruś przyjęła prawosławie (a raczej pozostała w nim, przyjmując tylko ruski obrządek), natomiast Iwan III wykorzystał małżeństwo do podniesienia prestiżu własnego i swoich następców oraz do umocnienia międzynarodowej pozycji Rusi.

W 1479 r. urodziła syna i swoimi wpływami i zawitymi intrygami na dworze wymusiła, że Wasyl (a nie już koronowany następca Dymitr, wnuk Iwana III) został przyszłym wielkim księciem Rusi Moskiewskiej jako Wasyl III. Uważała, że tylko potomek Paleologów, a nie Rurykowiczów, jest godny tronu i może zrealizować jej imperialne ambicje.

Historycy podkreślają jej duży wpływ na Iwana III. Niestychanym dla ówczesnej Rusi było to, że księżę nie tylko zasięga jej rady, ale i realizuje jej koncepcje, pomniejszając znaczenie Dumy Bojarskiej. To właśnie ona przekonała go do walki z Wielką Ordą i wyzwolenia się spod jej wpływu, jako poniżającego zarówno dla panującego, jak i przyszłego imperium („imperator nie może być lennikiem”). Iwan III lennikiem był tylko oficjalnie, został wielkim księciem bez zgody chana, a wasalne hołdy ograniczał do wysyłania „prezentów” zamiast regularnej daniny, później zaprzestał też przekazywania podarków.

W 1480 roku, kiedy wielki księżę zrzeka się wszelkiej zależności od Złotej Ordy, rzekł do posłańca chana: „zdechła ta kura, która znosiła wam złote jaja” i podarł pismo od chana na oczach posłów. W odpowiedzi chan Ahmed II wyprawił swoje wojska. Do spotkania doszło nad rzeką Ugrą. Konfrontacja po obu brzegach rzeki trwała miesiąc i być może trwałaby dłużej, ale w wojskach chana pojawiła się epidemia dżynterii. Oprócz tego chan nie otrzymał obiecanej pomocy od polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka. Udana akcja wojsk księcia na tyłach tatarskich skłoniła chana do wycofania się bez bitwy.

Ruś była wolna od płacenia daniny. Mimo to pojawiła się plotka, że to Zofija czarami wywołała epidemię w szeregach ordyńskich. Aby podnieść ducha bojowego Zofija posłała wojsku ikonę Matki Boskiej Włodzimierskiej, która według wieści wcześniej uratowała Ruś od najazdu Tamerlana. Tak zakończyła się dwuwiekowa zależność od Złotej Ordy. Rosja przestała być lennikiem chana.

Wspomagany imperialnymi ambicjami Zofiji Iwan III aktywnie kontynuował koncentrację ziem rozdrobnionych księstw ruskich. Tylko za jego panowania terytorium Księstwa Moskiewskiego powiększyło się z 430 tys. km kw. do 2800 tys. km kw. Pozostałości po osłabionej Złotej Ordzie – chanaty Kazański i Astrachański – zostaną włączone do Rosji dopiero za panowania jego wnuka Iwana IV Groźnego.

Niezaprzeczalne są zasługi Zofiji w dziedzinie kultury i europeizacji Rusi. Dotychczas żonom panujących czas upływał na modlitwach, robótkach ręcznych, haftowaniu szat liturgicznych i pełnej izolacji od świata. Nawet podczas nabożeństw w pałacowej cerkwi przebywały za gęstą kratą i były niewidoczne dla innych.

Zwyczaj, że żona panującego jest „niewidzialna” dla poddanych utrzymał się do końca XVII w. Matka Piotra I wywołała wielki skandal, kiedy przejechała przez miasto w karecie z odsłoniętymi gęstymi zasłonami. Kiedy wspomina się o żonach książąt, natrafiamy na informację ile ufundowały klasztorów, cerkwi, ile urodziły dzieci. Jeśli urodziły się córki pisano, że „zmarła bezpotomnie”. Tutaj Zofija dokonała prawdziwej rewolucji. Wymogła, aby panujący otoczył się pięknem i bogactwem. Zmieniła też zwyczaje, wprowadziła bizantyjski ceremoniał, wyeliminowała uprzednią bezpośredniość.

Przywiozła do Moskwy wiele cennych podarków, będących jej posagiem ufundowanym przez papieżstwo. Przywiozła wiele ikon, ale najcenniejszym darem była bardzo



Iwan III Srogi

bogata biblioteka wieziona na 30 podwodach. Później zastępnęła ona jako biblioteka Iwana Groźnego (nieodnaleziona do dziś, bardzo możliwe, że utracona na zawsze). Biblioteka zawierała pergaminy po łacinie, grecku, manuskrypty Starożytnego Wschodu, papirusy egipskie, dzieła w języku starogreckim i hebrajskim. Były tam też dzieła starożytnych autorów. Wśród nich nieznanne poematy Homera, utwory Arystotelesa, Platona, Pitagorasa, najcenniejsze dzieła z bibliotek bizantyjskich, a nawet uratowane ze znakomitej Biblioteki Aleksandryjskiej, liczne gliniane tabliczki i teksty na złotych płytkach. Dla Zofiji szczególnie cenne były dzieła z dziedziny magii, astrologii.

Była to największa wówczas biblioteka w Europie. Specjalnie dla biblioteki były podobno zbudowane głębokie podziemne pomieszczenia pod cerkwią Zaśnięcia NMP, tworzące specjalny labirynt. Pomieszczenie to znalazł przypadkowo książę Wasilij III, a do przekładu ksiąg był zaproszony Maksym Grek w 1518 roku i opowiedział o niej przyszłemu carowi Iwanowi Groźnemu. Mimo wielu poszukiwań w róż-

nych miejscach nie udało się jej odnaleźć. Istnieje przypuszczenie, że nieodnaleziona biblioteka znajduje się w jakimś tajnym pomieszczeniu pod dnem rzeki Moskwy.

Z inicjatywy Zofiji włoscy architekci wybudowali wiele cerkwi. Niestety, nie wszystkie się zachowały, wiele zburzono w początkowym okresie władzy radzieckiej. Zofiji Rosja zawdzięcza kompleks kremłowski z licznymi cerkwiami i monasterami, oraz murowanym pałacem, który miał być potężną, niedostępną nie tylko twierdzą, ale i pięknym zabytkiem architektury ze słynnym murem, uwieńczonym charakterystycznymi włoskimi zwieńczeniami w kształcie „ogonów jaskółczych” (zachował się do dziś).

W charakterze prezentu dla przyszłego męża przywoziła bardzo oryginalny tron drewniany, okładany kością słoniową i kością morsa, z płaskorzeźbami na tematy biblijne. W literaturze muzealnej przedstawiany jest jako tron Iwana IV Groźnego (wnuka Iwana III). Słynna rzeźba M. Antokolskiego przedstawia Iwana IV na tym tronie. Podkreślano symboliczno-magiczny charakter tego podarunku. Drewno zosta-

ło przywiezione z Libanu (Wschód), kość słoniowa z Afryki (Południe), kość morsa z Północy, złote nity z Europy Zachodniej. A zatem zasiadający na tym tronie miał panować nie tylko nad czterema stronami świata, ale i nad czterema żywiołami.

W 1896 r. podczas koronacji Mikołaja II ten tron był przygotowany dla małżonki cara imperatorowej Aleksandry Fiodorowny (według innej wersji dla jego matki carowej-wdowy Marii Fiodorowny – małżonki cara Aleksandra III). Do dziś tron ten ma status najstarszego i jedyne oryginalnego tronu moskiewskiego Kremla. Cennym podarkiem wśród wielu dewocjonalistów była ikona Matki Boskiej „Błogosławione Niebo”, która była długo przechowywana w soborze Archangielskim. Wśród wielu ważnych ikon, wywiezionych jeszcze z Konstantynopola, największą relikwią była ikona Chrystusa nieudźką ręką uczyniona (*Acheiropita*). Pozostała jedną z najwyżej do dziś czczonych ikon w Rosji. Według przekazu tą ikoną błogosławił ją ojciec.

Podczas prac archeologicznych na terytorium Kremla, prowadzonych w XIX wieku, odnaleziono między innymi naczynie ze starożytnymi złotymi monetami z czasów cezara Tyberiusza; co potwierdzało, że w orszaku Zofiji byli zarówno rodowici mieszkańcy Rzymu jak i Konstantynopola. Wielu z nich zajęło ważne stanowiska przy dworze wielkiego księcia.

Zofija nie tylko znała architekturę bizantyjską i włoską. Podczas podróży do Moskwy przez niemal całą Europę Zachodnią zobaczyła wiele pięknych budowli europejskich, dlatego też była przerażona widokiem ówczesnej Moskwy – drewniane domy, bardzo ubogo wyglądający drewniany pałac wielkksiążęcy, mury obronne z niedbale załatanyymi dziurami, ślub w tymczasowej drewnianej kaplicy – wszystko to pozostawiło bardzo przykre wspomnienia na całe życie. Starła się zrobić wszystko co mogła, by stolica przysze-

go III Rzymu nie pozostawała w tyle za miastami europejskimi. Dlatego też w Moskwie (za bardzo hojnym wynagrodzeniem) na zaproszenie wielkiego księcia zjawili się znani architekci włoscy ze słynnymi Arystotelem Fioravanti, M. Friazinem.

Architekci włoscy wiele podróżowali po ówczesnej Rosji, zapoznając się z architekturą w starych miastach ruskich i starali się połączyć styl włoski z tradycyjnym budownictwem Rusi Kijowskiej aby nie wywoływać protestów hierarchów prawosławnych. Nieoceniony jest wkład cudzoziemców w stworzenie rodzimej grupy mistrzów rosyjskich, którzy nie tylko z nimi współpracowali, ale i aktywnie uczestniczyli w ozdabianiu nowo powstających budowli. Można powiedzieć, że narodził się styl grecko-włosko-słowiański świątyń prawosławnych.

Zbudowano we włoskim stylu nowe mury obronne Kremla, które miały bardziej dekoracyjno-prestiżowy charakter niż obronne. Iwan III pięciokrotnie wysyłał z Moskwy do Włoch poselstwa z zaproszeniami do znanych architektów, malarzy, jubilerów, rusznikarzy, lekarzy, aptekarzy, uczonych. Do Moskwy przybyło wiele znakomitości świata zachodniego. Niektórzy z nich zrusyfikowali się, robili karierę w służbie dyplomatycznej Rosji, osiedlając się na stałe w nowej ojczyźnie.

Wielu z przybyłych z Zofiją na dwór moskiewski zostało założycielami znanych rodów rosyjskich ze zruszczonymi nazwiskami, np. Cziczzerinowowie (pierwotne nazwisko Ciceri) czy Kaszkinowie (pierwotne nazwisko Cassini). Ponadto w Rosji osiedli prawosławni Grecy przyspieszając proces „bizantynizowania Rosji”.

Pod wpływem, żony (mimo wielkich oporów cerkwi) Iwan III też chciał europeizować Rosję. W Moskwie zaczęto budować gmachy murowane. W XV w powstaje tzw. Granowita Pałata (1487-1491) – później rozbudowana i przebudowana –

oficjalny, pierwszy reprezentacyjny świecki pałac murowany z salą tronową wzorowany na Palazzo Bevilacqua w Boloni, przeznaczony do oficjalnych uroczystości, Tieremnyj pałac (prywatne apartamenty carowych), wieże kremlowskie. Ponadto zaczęto bić monety na europejskim poziomie (rosyjskie próby, które możemy oglądać w muzeach, były bardzo marnej jakości), uzbrojono wojsko w broń palną i nowy typ zbroi i hełmów, co bardzo ułatwiło konfrontację z oddziałami tatarskimi nad rzeką Ugrą.

Elementy etykiety dworskiej

Z Zofiją przybyło do Moskwy wielu Greków i Włochów, którzy tworzyli jej własny dwór. Aktywnie uczestniczyła w życiu politycznym, w swoim pałacu przyjmowała dyplomatów i wielu gości zagranicznych. Wrażenia z pobytu na jej dworze pozostawili między innymi wenecki poseł A. Conterini w dziele „Podróż do Persji” oraz Grek G. Perkanetos „Doniesienia z Rosji”. Podkreślali wielką aktywność Zofiji nie tylko w dziedzinie kultury, ale także polityki i gospodarki. Do Moskwy licznie przyjeżdżali kupcy z państw niemieckojęzycznych i Polski. Zofija wspierała inicjatywy księcia w rozwoju handlu z państwami europejskimi, widziała w tym bardzo istotny bodziec do rozwoju Rusi. Książę podczas swoich wypraw do Turcji i na Krym zapewniał im ochronę na niebezpiecznych szlakach handlowych.

Pod jej wpływem Iwan III zaczął używać dumnych tytułów cara i samowładcy, a z ceremonii koronacyjnej uczynił uroczysty rytuał religijny (ceremoniał ten z dalszymi modyfikacjami zachował się aż do końca istnienia Imperium Rosyjskiego). Ważnym osiągnięciem było sporządzenie w 1497 roku obowiązującego w całym państwie kodeksu prawnego (Судебник). Protekcyjny sposób traktowania poddanych nie spotkał się z apro-

batą innych książąt i bojarów, i niechęć spadła na Zofiję.

Wielki książę pozwolił małżonce mieć własną „dumę” złożoną z jej krewnych, członków jej świty przybyłych z nią do Moskwy i zapraszanych w przeszłości, urządzić „przyjęcia dyplomatyczne” w swojej części pałacu, przyjmować zagranicznych wysłanników, prowadzić z nimi rozmowy, co było wówczas czymś niewyobrażalnym.

Po wyzwoleniu się wielkiego księcia od zależności tatarskiej mógł on poczuć się pełnoprawnym władcą. Zofija szczególnie akcentuje ten fakt. Do oficjalnego obrządku wielkoksiążęcego wchodzi strój oficjalny – purpurowy płaszcz podbity gronostajami, berło, jabłko królewskie, słynna czapka Monomacha, do której szybko dorobiono legendę, że w X w. została przysłana księciu Włodzimierzowi z Bizancjum (w rzeczywistości подарowana przez chana Uzbeka księciu moskiewskiemu Iwanowi Kalicie). Małżonka uznała, że jako spadkobierczyni Paleologów daje mu prawo pretendowania do tronu bizantyjskiego, z czym musieli liczyć się bojarzy. Żadne sprzeciwy, spory z księciem, własne zdanie były już nie do zaakceptowania.

Ostatecznie wnuk Iwana III i Zofiji Iwan IV Groźny w 1547 roku przyjmuje tytuł cezara (zniekształcona rosyjska wersja – car) i dynastyczny herb Paleologów w charakterze oficjalnego godła Rosji. Symbolem wyrażonym w herbie była „symfonia Wschodu i Zachodu, Rzymu i Konstantynopola” – w te strony patrzyły dwie głowy orła. Początkowo dwugłowy orzeł pojawił się tylko na pieczęci Iwana III. Drugim symbolem była harmonia władzy świeckiej i duchownej, tzw. „symfonia”. Z czasem na piersi orła pojawił się stary herb Moskwy – św. Jerzy zwyciężający smoka. Miał on symbolizować wielkiego księcia walczącego ze swoimi wrogami i wszelkim złem, czyhającym na

państwo moskiewskie. Ponadto miał podkreślać kontynuację dwu poprzednich imperiów. W soborze Archangielskim po zaślubinach Iwana III we freskach pojawił się wizerunek Michała III, założyciela dynastii Paleologów, z którym spokrewnili się moskiewscy książęta. Tak zaczął się utrwalać mit o Rosji i jej panujących jako spadkobiercach imperium bizantyjskiego.

Historycy podkreślają despotyczny charakter Zofiji, żądzę władzy, skłonność do intryg, przebiegłość, perfidię, zbyt dużą pobłażliwość wobec członków swojej świty kosztem interesów Rusi. Za plecami nazywano ją despotiną. W 1483 roku Zofija wydała za mąż swoją bratanicę za księcia W. Wierejskiego (prawnuka Dmitrija Dońskiego). Nie znając rosyjskiej tradycji, że klejnoty żon wielkich księżnych (w przyszłości carowych) należały do nich dożywotnio, po śmierci trafiały do skarbcza państwowego, podarowała bratanicy klejnoty pierwszej żony Iwana III Marii, córki księcia twerskiego Borysa, święcie przekonana, że ma do tego prawo. Wybuchła straszna awantura, kiedy okazało się, że wielki książę postanowił podarować je synowej Helenie Wołoszance, jako dowód wdzięczności za urodzenie wnuka Dymitra. Skandal zakończył się ucieczką księcia Wierejskiego i jego małżonki z Rosji na Litwę.

Na moskiewskim dworze doszło do bezpośredniej konfrontacji zwolenników następcy Dymitra oraz syna Iwana III i Zofiji Paleolog – Wasilija. Dla Zofiji obciążającym argumentem był włoski lekarz wezwany z Wenecji, by leczyć od podagry syna Iwana III – tzw. Iwana Młodego. Leczenie zakończyło się śmiercią księcia. Lekarz po torturach został stracony. Ciekawostką jest to, że moskwiczanie współczuli straconemu lekarzowi, święcie wierząc, że był tylko parawanem dla trucicielskich zamysłów Zofiji. Według nich śmierć Iwana była w jej interesie, a Zofija utrzymała o sobie opinię osoby, która czarami i trucizną dąży do celu.

Ponadto oskarżano ją nie tylko o organizację spisku, ale i o złamanie staroruskiej zasady dziedziczenia tronu wielkoksiążęcego. Konflikt trwał. Iwan III oddalił Zofiję, represjonował osoby z jej otoczenia, wróżbitów kazał utopić w rzece i stanął po stronie wnuka W 1496 r. koronował wnuka Dymitra na swojego następcę i współrządzającego Rosją. Dzięki intrygom Zofiji udało się oskarżyć Helenę Wołoszankę o herezję i w 1500 r. Iwan III ogłasza swoim prawowitym następcą Wasyla (syna Zofiji).

Cel Zofiji został osiągnięty. W 1505 roku Wasyl wstąpił na tron wielkoksiążęcy. W 1514 roku cesarz Maksymilian I uznał jego prawo do tytułu cara. Jego następcy już będą nosić tytuły carów, a po kolejnych dwóch wiekach – imperatorów.

O tym, jak wysoko Zofija oceniała swoje pochodzenie, świadczy całun, wyszyty jej rękami, przechowywany w klasztorze Trojce-Sergijewskim, na którym po 26 latach małżeństwa księżna wyhaftowała podpis „cesarzówna konstantynopolska”. Do końca wierzyła, że wielką misję dziejową spełni nie potomek Rurykowiczów, ale Paleologów. Niestety, w niecałe sto lat później umiera jej ostatni potomek. Po kilku latach zamieszek w 1613 r. na trzysta lat pojawi się druga i ostatnia dynastia w dziejach Rosji.

Wszyscy są zgodni w wysokiej ocenie jej talentów dyplomatycznych, na gruncie rosyjskim. Historycy zauważają, że od początku lat osiemdziesiątych XV w. w państwie moskiewskim nie było konfliktu, czy ważnego wydarzenia, w które by nie była zamieszana Zofija.

Dzięki Zofiji na Rusi pojawił się nowy obyczaj „przeglądu niewiast”: swoisty konkurs piękności, na którym spośród pańien najlepszych rosyjskich rodów wybierano narzeczoną dla następcy tronu. Najbardziej barwne i intrygujące opisy tych ceremonii zachowały się z czasów panowania Iwana IV Groźnego.

Wielki książę nie musiał czuć się jako pierwszy spośród równych, ale najwyższy, nie mający sobie równych. Wielkiemu Księciu zarzucano, że łamie odwieczne tradycje, słucha rad żony, pozwala jej ingerować w sprawy państwowe. Tego bojarzy Zofiji Paleolog nigdy nie wybaczyli. Paleolog była nie tylko poliglotką, wszechstronnie i po europejsku wykształconą kobietą na dworze moskiewskim, znającą Europę i panujące w niej renesansowe tendencje, ale też widzącą konieczność zreformowania ówczesnej, jeszcze pod wieloma względami średniowiecznej, „ordyńskiej Rusi”. Nie spotkała się ze zrozumieniem i uznaniem w nowej ojczyźnie. Czy nie nasuwa się analogia do losów Bony Sforzy, której postępowe poglądy i reformatorskie dążenia nie przysporzyły nieprzejednanych wrogów?

Do końca historii rodu Rurykowiczów zachowała reputację „greckiej wiedźmy”, „despotiny”, „greczichy” (zamiast Greczynki), rozwiązującej wszystkie problemy rodzinne i dynastyczne przy pomocy czarów, tajemnych złych mocy, trucizn. O konflikt cara z synową Heleną Wołoszanką, córką władcy Mołdawii Stiepana, również (nie bez podstaw) oskarżono Zofiję. Samą śmierć wnuka (1505) i jego matki również przypisywano intrygom i czarom Zofiji, mimo, że stało się to już po jej śmierci (1503 r.). W kronikach rosyjskich rzadko spotyka się informację o jej wiedzy, talentach dyplomatycznych, państwowotwórczych, natomiast znajdziemy dużo informacji o czarach i magii.

Zyskała ona niechlubny tytuł „wiedźmy wszechczasów”, która sprowadziła kryształową kulę i „diabelski wynalazek” w postaci 13 luster weneckich, jakoby niezbędnych do czarów. Posiadała bransoletę podarowaną przez Konstantyna XI, która miała być wykonana przez perskich magów (pozwalala jakoby widzieć myśli innych ludzi i narzucać im swą wolę). Oskarżono ją nawet o to, że po 5 latach małżeństwa zmar-

ła nagle pierwsza żona księcia Iwana III Maria, ponieważ jakoby z horoskopu Zofiji wynikało, że zostanie władczynią Rosji. Aby to się stało, Iwan III musiał zostać wdowcem. Mimo, że przebywała wówczas w Rzymie i raczej nic nie wiedziała o istnieniu Iwana III i Marii Twerskiej. Jakoby na krótko przed jej śmiercią dwór moskiewski odwiedził posłaniec papieski. To wystarczyło do stworzenia kolejnej czarnej legendy w przyszłości.

Zofija zmarła 7 kwietnia 1503 r. Została pochowana w masywnym sarkofagu z białego piaskowca w klasztorze Wniebowstąpienia na terytorium Kremla, obok pierwszej żony Iwana III Marii Twerskiej (Borysowny). Klasztor w 1929 r. został zburzony, a jej szczątki – podobnie jak i innych kobiet domu panującego tam pochowanych – zostały przeniesione do krypt Soboru Archangielskiego. Badanie szczątków zostało wykonane i portrety na podstawie zachowanych czaszek zostały sporządzone przez prof. S. A. Nikitina, w 1994 r. □

Bibliografia

1. A. Andrusiewicz, „Cywilizacja rosyjska” KiW, Warszawa 2004.
2. Ludwik Bazylow, „Historia Rosji”, PWN, Warszawa 1983.
3. Nicholas V. Riasanovsky, Mark D. Steinberg, „Historia Rosji”. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009.
4. James H. Billington, „Ikona i topór. Historia kultury rosyjskiej”. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008.
5. В. О. Ключевский, „Курс русской истории. Полное издание в одном томе, Изд. Альфа-книга. с. 1197. Москва, 2019.
6. История России с древнейших времен до начала XXI века под редакцией А. Н. Сахарова. Институт российской истории РАН, Москва, АСТ Артель. «Транзиткнига» 2006.

ALICJA GÓROWSKA

WOJNA – STRACH I LĘK

Jaki wpływ ma na nas wojna tocząca się za naszą granicą, na Ukrainie. Duży! Szczególnie w sferze psychicznej. O ekonomicznej i politycznej się nie wypowiadam.

Kiedy w dniu wybuchu tej wojny byłam przygotowana do złożenia życzeń Maciejowi, mój nastrój i solenizanta również, znacznie się obniżył. Już zawsze ten dzień imienin 24 lutego, będzie naznaczony smutkiem i przerażeniem. W pierwszej chwili ogarnął mnie strach, potem lęk. Laik z reguły nie odróżnia tych dwóch stanów.

Strach to sygnał zagrożenia **życia** (w stanie wojny, pożaru, napaści itp.), realnego niebezpieczeństwa tu i teraz, walki o przetrwanie, to stan gotowości do ucieczki lub walki. Organizm w tej stresowej sytuacji wytwarza znaczne pokłady kortyzolu i adrenaliny, które powodują przyspieszoną pracę serca, wzrost ciśnienia krwi, rozszerzenie oskrzeli, źrenic oraz napięcie mięśniowe. Ten stan ma pomóc w odruchu ucieczki lub walki. Z tego wynika, że strach działa mobilizująco. Jest potrzebny i pożyteczny, bo chroni nas i ostrzega przed niebezpieczeństwem.

Lęk natomiast w odróżnieniu od strachu dotyczy sytuacji wyobraźniowej, nie realnego zagrożenia. To stan oczekiwania na bliżej nieokreślone, ale związane z obecnym stanem rzeczy nieprzyjemne doświadczenie. Dotyczy tego, co może się zdarzyć, a nie tego co dzieje się obecnie. Dzieje się to tylko w naszym umyśle. W zależności od tego, jaki mamy związek z przyszłością. Pozytywny – wtedy odczuwamy nadzieję i zaufanie. Jeśli negatywny – odczuwamy lęk, który wpływa negatywnie na nasze poczucie komfortu psychicznego.

Jak widać obydwa te stany emocjonalne są odmienne. Nas w obecnej sytuacji (oby się nie zmieniła) dopada lęk. Jak się więc uwolnić od lęku?

– Ponieważ informacje o wojnie na Ukrainie dostarczane są poprzez media, starajmy się ograniczyć odbiór wiadomości do minimum. Nie oglądajmy scen wybuchów, wystrzałów, obrazów z frontu i masakr ludności cywilnej. Najlepiej sprawdzać wiadomości raz dziennie w zaufanych mediach. Zbyt duża ilość informacji wzmaga lęk.



– Uświadommy sobie, czego się konkretnie boimy i przyznajmy się do tego przed sobą samymi. Dobrze na obniżenie lęku wpływa podzielenie się z tymi obawami z drugą osobą.

– Nie ukrywajmy swoich emocji (przed innymi i samym sobą). To naturalne uczucie. Zaakceptujmy wszystkie nieprzyjemne uczucia, w chwili gdy się pojawiają. Nie walczmy z lękiem, nie stawiamy oporu, bo właśnie opór powoduje jego trwanie. Paradoksalnie, to co chcemy odeprzeć, naciera z podwójną siłą.

– Przekujmy „zło” w „dobro”. Myślmy o pozytywach sytuacji, w której jesteśmy. Myślmy o tym, co może wynikać dobrego z obecnego stanu.

– Zastanówmy się nad faktem, czy mamy jakikolwiek wpływ na to czego się obawiamy, bo nie na wszystko mamy wpływ. Jeśli nie mamy, dajmy sobie spokój, ale zajmijmy się działaniami, na które mamy wpływ (np. pomoc uchodźcom).

Jak widać z powyższego, nie należy się wstydzić tego, że się boimy. Jeśli nie będziemy odczuwać strachu i lęku, będzie to znaczyło, że potrafimy oswoić to, co niszczy nam życie. Wojna to zło, należy się jej bać, bo jest zagrożeniem, znamy to z lekcji historii, opowieści dziadków i rodziców. Z drugiej strony nie należy poddawać się lękowi, ale należy traktować go jako sygnał do aktywizacji, realnej oceny sytuacji i sprawdzenia zasobów (materialnych i emocjonalnych). □

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

– Babciu, jest niedobrze.

Moja wnuczka, zwykle pogodna i poważna, teraz wyglądała na bardzo przygnębioną. Zauważyłam też, że chyba za chwilę może się rozpląkać. Odczułam rosnący niepokój.

– Co się stało? Wyglądasz nieszczęśliwie. Żle się czujesz?

– Eee nie! Nie chodzi tu o mnie. Marzena, siostra Kuby jest w ciąży.

– No, nieźle, a ile ma lat?

– Jest w klasie maturalnej. I tu jest problem. Jej starych wezwali do szkoły i zasugerowali, żeby jej poszukać innej budy, bo po co tej szkole taka niezdrowa sensacja, że zaszkodzi to wizerunkowi placówki i takie tam ble, ble, ble. Rozumiesz babciu?

– Co mam nie rozumieć. Sytuacja jasna jak słońce. Dyrekcja boi się stygmatyzacji szkoły, oskarżeń o brak rozeznania, o słabą działalność wychowawczą. Pewno niektórzy rodzice zabiorą córki ze szkoły, no bo skoro zdarzają się TAKIE rzeczy...

– To jeszcze nic. W tej budzie jest parazywie, jak chodzi o religię. Tam panuje terror. Taka siostra zakonna trzyma za twarz całą szkołę. Podzieliła uczniów, podzieliła belfrów i dyrekcję. Wszystko na tle seksu, smart fonów, uczestnictwa w lekcjach religii, ni i oczywiście polityki. No to przecież będzie istny koszmarny dla Marzeny. Co ja mówię – już jest.

– Ta siostra to jakaś stara jędza, co? – zapytałam, bo nie bardzo wiedziałam co powiedzieć.

– Jędza, to fakt. Ale nie stara. Jest przed trzydziestką. I na dodatek ładna. Ale wszyscy się jej boją. Mówię ci, babciu – terror! Ta siostra już nakręca ludzi przeciw Marzenie. Jest coraz więcej hejtu. Ktoś nawet na jej plecaku napisał: „zdzira”, a pod spodem k...a. Co dziewczyna ma teraz zrobić? Chwilę przed maturą?

– Jest kilka opcji. Tak mi się wydaje. Na pewno dziewczyna nie może się poddać. To kwestia godności. A rodzice? Wspierają?

- Trudno powiedzieć. Na razie są w szkole. To dobrzy ludzie, ale sytuacja ich chyba przerosła. Poradzisz coś, babciu?

- A co ja mam poradzić? Są dwie drogi: albo się poddać, zabrać Marzenę ze szkoły, pozacierać za sobą ślady i żyć w poczuciu porażki. Można też walczyć. Są przepisy, które bronią uczennic w ciąży. Z tego powodu nie można nikogo poniżać, wykluczać, gnębić – wiesz, o czym mówię. Czy Marzena i jej rodzice wytrzymają taką walkę? Trudno powiedzieć. Na pewno o sojuszników łatwo nie będzie. A więc podstawowe pytanie brzmi: walczymy, czy poddajemy się i uciekamy przed wielebną siostrzyczką?

- A co byś ty, babciu zrobiła?

- A ty, wnusiu?

- Nnno, nie wiem.

- Ja też nie wiem. Przypadek Marzeny mi nie grozi, ale też nie wiem. Logika i zdrowy rozsądek mówią: walczyć, nie dać satysfakcji draństwu i obłudzie. Przecież nie można w imieniu Boga na ustach

i z krzyżem na habicie krzywdzić innych ludzi, choćby im się przytrafiła jakaś fatalna pomyłka.

- Babciu, a jeśli Marzena usunie się ze szkoły, to przecież dziecko urodzi się na pewno zdrowe, sprawa przycichnie...

- Sprawa przycichnie, a „siostropodobni” ludzie będą zwyciężać, tak? Czy tak ma być?

- To ja już nie wiem, babciu. – Dziewczyna podczas tej rozmowy zdała się być przytłoczona wagą zagadnienia. Widać było, że ze wszystkich sił próbowała „ogarnąć” cały ten problem. Wreszcie głęboko westchnęła i mocno akcentując powiedziała:

- A ja poradzę Marzenie, żeby walczyła! Może nie dla siebie, ale na pewno dla tego malucha. A co!

I z tego wszystkiego zapomnieliśmy, że wystygła nam herbata.

Babcia

IDOLE

Mundial, Mundial, Mundial, Mundial – można by tak bez końca zapełniać kolejne strony druku. Dla wszystkich byłoby jasne, o co chodzi. Czyżby jednak na pewno?

Przez ostatni miesiąc tkwiliśmy przed telewizorami i monitorami komputerów. Chłonęliśmy rozgorączkowanym wzrokiem każdy ruch bohaterów tej imprezy. Słuchaliśmy z zapartym tchem każde słowo wypowiedziane w wywiadach i komentarzach. Za wszelką cenę chcemy uwierzyć, że bohaterowie naszych czasów są wspaniali, szlachetni, mądrzy i prawdomówni.

I tu zaczyna się problem. Gdy jesteśmy bezkrytyczni, zakochani w naszych idolach, przyjmujemy na wiarę wszystko, co nam zostanie podsunięte przez media. Dla

tego nietrudno zauważyć w telewizji rozgorączkowanych fanów, twarze pełne emocji, miłości dla „naszych” i niepokojącej wrogości do „tamtych”.

Jednocześnie trwają wyteżone prace mające na celu tworzenie żywego pomnika. Obowiązujący schemat to oczywiście: geniusz piłkarski, chodząca szlachetność, uczciwość i prawosć. Sportowa także.

Lecz wystarczy spojrzeć na transmisję telewizyjną, by (nawet nie będąc znawcą) zobaczyć niesportowe zachowania. Otóż widzimy użycie łokcia w wyskoku, po którym konkurentowi nieomal odpada głowa, widzimy uderzenia w twarz podczas przepychanek pod bramką. Widzimy także symulowanie fauli, których nie było, udawanie ciężkich obrażeń, itd.



Jakby tego było mało, co rusz pojawiają się medialne rewelacje o oszustwach podatkowych, o naruszaniu przepisów prawa w różny sposób.

Od czasu do czasu mamy do czynienia z akcją charytatywną, mającą na celu podniesienie wartości wizerunkowej idola.

A więc trudno być zawziętym fanem idola parającego się sportem. Dlaczego? Nie

wiem. A może tak ma być? Wcale nie chodzi mi o deprecjonowanie sportowców wykujących w morderczym trudzie swoje sportowe „ja”. W końcu oni dają się lubić. Dobrze byłoby jednak, by od mistrzów sportu trzymać z daleka niektórych dziennikarzy, menagerów, doradców i innych, bo oni zazwyczaj szkodzą sportowi. Nam też.

Marchoń



SWEGO DOK?

CIEMNOŚCI

Pisarz i krytyk Oświecenia Gotthold Ephraim Lessing, autor *Natana mędrca*, był człowiekiem nadzwyczaj roztargnionym. Gdy wracał kiedyś późno do domu, służący, nie poznawszy swego pana, bo na schodach było zupełnie ciemno, rzekł:

- Przepraszam, ale pana nie ma w domu.
- Ach tak – odrzekł na to Lessing – więc w takim razie przyjdę później.

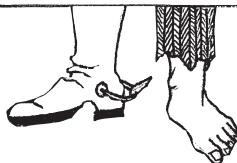
OKULARY

Theodor Mommsen, historyk i filozof, znany był ze swego pedantyzmu, ale i roztargnienia. Pewnego razu, jadąc w Berlinie tramwajem, wyciągnął z teczki książkę, chcąc oddać się jej lekturze. Daremnie jednak szukał swoich szkieł w prawej kieszeni.

Wreszcie jakaś dziewczynka, siedząca obok niego, podała mu nieszczęsne okulary, wyjąwszy je z jego lewej kieszeni.

- Bardzo ci dziękuję, drogie dziecko! – zawołał zadowolony uczoney. – Jakże się nazywasz?

Dziewczynka odpowiedziała: - Anna Mommsen, ojczcie.



W ŚWIĄTYNI HINDUSKIEJ W BRZEGACH

17 listopada 2022 r. przedstawiciele Zarządu Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Kultury Świeckiej oraz redakcji kwartalnika „Forum Myśli Wolnej” złożyli wizytę w nowo otwartej świątyni hinduistycznej Radha Govind Bhakti Yog Mandir mieszczącej się w Brzegach koło Węgrzc Wielkich. W skład delegacji wchodził Piotr Augustynek, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka i Krzysztof Woźniakowski, rolę zaś gospodarza i przewodnika pełniła p. Jadwiga Zielińska, przewodnicząca Radha Govind Society of Poland. Spotkanie zostało zorganizowane z inicjatywy TKŚ, bardzo życzliwie potraktowanej przez gospodarzy.

Radha Gobind Society of Poland (opiekun świątyni Radha Govind Bhakti Yog Mandir w Brzegach) jest polskim oddziałem międzynarodowej organizacji non-profit Jagadguru Kripalu Parishat, założonej przez Shree Kripaluji Maharaj a stawiającej sobie za cel „szerzenie wiedzy o drodze

Świadomości Duchowej Miłości, objawionej w takich świętych pismach hinduskich, jak Wedy i Bahagwatam” oraz propagowanie bogactwa kultury i świadomości Indii. Sama świątynia została uroczystie otwarta w dn. 1-2 października 2022 r. Od tego czasu funkcjonuje jako centrum religijno-kulturowe lokalnej społeczności hinduskiej i nepalskiej oraz oczywiście także polskich wyznawców tej denominacji. Główne nabożeństwa odbywają się w niedziele, w soboty zaś hinduistyczne spotkania śpiewaczo-taneczne. Według informacji p. Jadwigi Zielińskiej uczestniczy w nich od 40 do 200 osób. Świątynia nie jest jeszcze w pełni wykończona (w stadium organizacji znajduje się np. jeszcze biblioteka nad którą patronat przyjęła ambasada Indii), niemniej jest już miejscem ważnych dla społeczności ceremonii, jak np. Święto Divali. Na terenie świątyni miał też miejsce pierwszy hinduistyczny ślub pary Nepalczyków z Kra-



kowa. 20 kwietnia 2022 r., jeszcze przed oficjalnym otwarciem tego miejsca kultu, Radha Govind Society odnotowało wizytę pani ambasador Indii Nagma M. Mallick.

Delegacja TKŚ miała okazję obejrzeć film o stowarzyszeniu i jego założycielu oraz zwiedzić zarówno główną salę, jak i niektóre pomieszczenia pomocnicze (biuro recepcyjne i sklepik). W sali głównej obowiązywało zdjęcie obuwia, zezwolono nam także na szczegółowe obejrzenie potężnego trójdzielnego ołtarza z marmurowymi (sprowadzonymi z Indii) bajecznie kolorowymi rzeźbami bóstw indyjskich na czele z Kriszną i jego małżonką, niestety nie było dozwolone robienie zdjęć ołtarza po jego odsonięciu. Istotną część spotkania wypełniła rozmowa z p. Jadwigą Zielińską opowiadającą o historii budowy świątyni, relacjach z miejscową ludnością (w zasadzie przyjaznych), społecznością hinduską w Krakowie i lokalnymi władza-

mi, spotkanie w niewielkim stopniu dotyczyło natomiast spraw doktrynalnych, gdyż skądinąd przemiła gospodyni nie czuła się w tych kwestiach zbyt kompetentna i odsyłała do ewentualnych kontaktów z założycielem polskiego oddziału, przebywającym aktualnie na delegacji w centrum hinduistycznym w amerykańskim Teksasie dr Markiem Pasulą. Nie dowiedzieliśmy się więc, na czym polegają ewentualne różnice między stowarzyszeniem a innymi funkcjonującymi w Polsce religijnymi organizacjami hinduistycznymi. W sumie wizyta delegacji TKŚ przebiegała w bardzo sympatycznej atmosferze, dokonano wymiany okolicznościowych podarunków (z naszej strony komplet rocznika 2022 „Forum Myśli Wolnej”, ze strony gospodarzy wydane po polsku w Teksasie materiały promocyjne denominacji). Byliśmy także prośzeni o dokonanie okolicznościowego wpisu w księdze pamiątkowej świątyni.

KW



SANEGO DOKŁ?

NASTĘPCA

Na krótko przed śmiercią Wagnera, który zmarł w Wenecji, kompozytora odwiedził któryś z jego przyjaciół i zapytał, co porabia.

– Jak widzisz, piszę testament – odrzekł kompozytor. – Na pierwszym miejscu postanawiam, aby moja żona wyszła jak najszybciej za mąż.

– Dlaczego?

– Aby znalazł się chociaż jeden człowiek, który by żałował, że umarłem, a będzie nim na pewno przyszły mąż mojej żony.

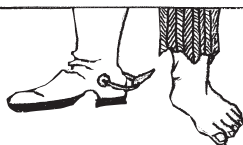
WYTRWAŁOŚĆ

Mikołaj II Romanow miał już dwie córki i niecierpliwie oczekiwał narodzin następcy tronu. Po trzecim porodzie dama dworu carycy, hrabina Ignatiewa, zawiadomiła cara, że Najjaśniejsza Pani znów urodziła córkę.

– Do licha, to już trzecia! – westchnął Mikołaj II.

Hrabina odpowiedziała z westchnieniem:

– Cóż robić, Najjaśniejszy Pan raczy się raz jeszcze pofatygować...



Niechceplacicznasekte – @zwino

To nieprawda, że ilość godzin z religii jest większa od ilości godzin fizyki. Ilość godzin z religii w całym ośmioletnim cyklu nauczania jest większa od ilości godzin fizyki, chemii i matematyki razem wziętych. A sam przedmiot nie ma na celu nauczania religii, tylko wytresowanie człowieka, że książka jest ważną, godną szacunku osobą, której należy słuchać. (...)

geraldine2015 – @aniela1896

Przypomnijmy czarnym (...), jak wspierali komunistów w utrzymaniu władzy. Agenci SB biskupi • b. Alojzy Orszulik – TW „Pireus”, • b. Jerzy Dąbrowski – TW „Ignacy”, • b. Leszek Głódź – TW „Guastar”, • b. Janusz Bolonek TW „Lamos”. Arcybiskup Bolonek w Sekretariacie Stanu pracował w Zespole ds. Stałych Kontaktów Roboczych między Stolicą Apostolską a rządem PRL. W 2012 r. abp Bolonek został odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej – „za wybitne zasługi w rozwijaniu współpracy między Rzeczpospolitą Polską i Stolicą Apostolską, za działalność na rzecz środowisk polonijnych i promowanie polskiej kultury”. Abp Bolonek, służąc komunistom, wyrządził wiele szkód papieżowi i Kościołowi? Był to człowiek z najbliższego otoczenia Jana Pawła II

bp. Józef Kowalczyk – KI „Cappino”. W lutym 1965 roku wyjechał do Rzymu, gdzie m.in. pełnił ważną funkcję kierownika Tajnego Archiwum. 20.10.1989 roku w Rzymie otrzymał sakrę biskupią z rąk papieża Jana Pawła II i niemal natychmiast, bo 26.11.1989 roku został nuncjuszem apostolskim w Polsce; • b. Józef Mi-

chalik – TW „Zefir”, •

b. Józef Życiński – TW

„Filozof”, • b. Juliusz

Paetz – TW „Fermo”,

• b. Kazimierz Górny

– TW „Kazek” i „Tadeusz”, • b. Mieczysław

Cisło – TW „Rzymianin”, • b. Stanisław

Stefanek – TW „Staszek”, • b. Stanisław

Wielgus – TW „Grey”, • b. Tadeusz

Pieronek – TW „Feliks”, • b. Wiesław

Mering – TW „Lucjan”, • b. Wiktor Skworec –

TW „Dąbrowski”, • b. Henryk Muszyński –

TW „Henryk”, • b. J.Kupny – TW. „Józef”.

**księża (x.) i zakonnicy (z.):**

• x. Henryk Jankowski – TW „Dele-

gat”, • x. Janusz Bielański – TW „Waga”

• x. Kazimierz Romaniuk, • x. Leon Kan-

torski – TW „Leśny” i „Rawicz”, • x. Michał

Czajkowski – TW „Jankowski”, • x. Miec-

zysław Maliński – TW „Delta”, • x. Miec-

zysław Nowak, • x. Mirosław Drozdek –

TW „Ewa”, • x. Romuald Weksler-Waszki-

nel, • x. Stanisław Mac – TW „Łukasz”, • x.

Wiesław Lauer – TW Szejka”, • z. Konrad

Hejmo – TW „Hejnał”, „Vox” i „Dominik”, z.

Bronisław Fidelus TW „Przybysz”, z. Jer-

rzy Kuhnbaum Kargul TW Kargul, Julian,

„Długi”, proboszcz parafii pod wezwaniem

Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny

W Gdańsku – Żabiance. Duszpasterz Lu-

dzi Pracy, z. Hieronim Godziek (redemp-

torysta) TW „Hiacynth”, proboszcz parafii

zestania Ducha Świętego w Sopocie.

111lech

Na przestrzeni wieków w imię papieskiego urzędu popełniono tak wiele przestępstw, że nie sposób wskazać inne środowisko, w którym byłoby – historycznie rzecz biorąc – tak duże stężenie kryminalności jak w Ko-

ściele katolickim. Historia papieżstwa pełna jest skandali, okrucieństw, rozpusty, terroru, wojen i deprawacji. Życie przeciętnych katolików upływa bez większej refleksji na temat papieżstwa i urzędów kościelnych, nie słyszą oni ani słowa krytyki czy zarzutu pod adresem papieża i innych dostojników Kościoła. Historia Kościoła i jego funkcjonariuszy jest jednak zupełnie oddalona od obrazu, w jakim ich się dziś przedstawia, a prawda o tych sprawach w szczególności o papieżach jest jednym z wielu faktów historii religii, które najczęściej były fałszowane i tendencyjnie wybielane.

Krzysztof Baranowski

W końcu ktoś bierze się za ten temat. Od niepamiętnych czasów piszę, że warto w końcu statystycznemu Kowalskiemu wyjaśnić dlaczego ubecskie dokumenty na temat patokościółka już dawnoniekatolickiego nie trafiły do IPN (gdzie powinny były trafić) a zostały przekazane do peniskopatu. Dla władz PRL patokościółek już dawnoniekatolicki był kurą znoszącą złote jajka. Gdyby komuniści chcieli pozbyć się kościoła, zrobiliby to w ciągu max tygodnia ale po co skoro można to, co Kowalski mówi podczas spowiedzi mieć podane na... tacy...

rte1

Co Słowo Boże mówi na temat przyczyn grzechów duchownych?

List apostoła Pawła do Rzymian rozdział 1 wersety od 21 do 32 :

Bo chociaż wiedzieli o Bogu, nie wychwalali Go jako Boga ani Mu nie dziękowali. Ich umysły stały się puste, a ich nierozumne serca ogarnęła ciemność. Mimo że uważali się za mądrych, stali się głupi i zamienili chwałę niezniszczalnego Boga na podobizny zniszczalne-

go człowieka, a także ptaków, zwierząt czworonożnych i gadów.

Dlatego też Bóg, stosownie do pragnień ich serc, zostawił ich na pastwę nieczystości, żeby hańbili swoje ciała. Zamienili oni prawdę Bożą na kłamstwo i wielbili stworzenie — dla niego pełnili świętą służbę zamiast dla Stwórcy, który powinien być wystawiany na wieki. Amen. Właśnie dlatego Bóg zostawił ich na pastwę niepohamowanych żądz seksualnych. Kobiety zamieniły stosunki seksualne zgodne z naturą na przeciwne naturze. Podobnie mężczyźni zrezygnowali ze zgodnych z naturą stosunków seksualnych z kobietą i gwałtownie zapłonęli żądzą jedni do drugich, mężczyźni do mężczyzn. Zaczęli dopuszczać się tego, co ohydne, na samych siebie ściągając karę należną za złe postępowanie. Ponieważ nie chcieli poznać Boga, On zostawił ich na pastwę niewłaściwego sposobu myślenia, żeby robili to, co nie przystoi. Są więc pełni wszelkiej nieprawości, niegodziwości, chciwości, zła, zawiści, skłonni do morderstw, kłótni, podstępni, złośliwi, rozsiewają pogłoski, rzucają oszczerstwa, nienawidzą Boga, są zuchwali, wyniośli, chętni, knują zło, są nieposłuszni rodzicom, nie mają zrozumienia, łamią obietnice, są pozbawieni naturalnych uczuć i niemiłosierni. Choć bardzo dobrze wiedzą, że zgodnie z prawnym postanowieniem Bożym dopuszczający się czegoś takiego zasługują na śmierć, nie tylko dalej to robią, ale też z uznaniem odnoszą się do innych, którzy tak postępują.

geraldine2015 – @111lech

Jakiś czas temu ktoś opracował takie zestawienie. Znalazłam w sieci, pozdrawiam autora.

(...) Przypomnijmy tylko najważniejsze zbrodnie oprawców w sutannach

oraz uświęcone akty terroru dokonywane przez katolików świeckich pod przewodnictwem kapelanów. Zasada była taka sama, jak w islamskim dżihadzie – wieczne zbawienie za mordowanie niewiernych. Szacunkowe liczby ofiar:

1096, pierwsza wyprawa krzyżowa. Wymordowanie Żydów nad Renem i Dunajem, ponad 20 tys. ofiar;
1099, krzyżowcy zdobywają Jerozolimę – 50 tys. ofiar;
1202, 1204, czwarta krucjata na rozkaz papieża Innocentego III, 100 tys. ofiar;
1207, armia Innocentego III wycina w pień katarów (30 lat), 100 tys. ofiar;
1226 (pocz.), Krzyżacy mordują Prusów, 300 tys. ofiar;
1453, z inicjatywy świętego Jana Kapistrana wymordowano Żydów na Śląsku, 30 tys. ofiar;
1450, 1750, polowanie na czarownice, na podstawie bulli Innocentego VIII, 150 tys. ofiar;
1478 (pocz.), papież Sykstus IV wysłał do Hiszpanii inkwizytora Torquemadę, 250 tys. ofiar;
1492, XVII w., katolicy wyniszczają ludność Wysp Karaibskich, 3,5 miliona ofiar;
XVI, XVIII w., misjonarze i żołnierze mordują Indian Amazonii, 5,5 miliona ofiar;
XVI, XVIII w., porwania niewolników w Afryce, 100 milionów ofiar;
1555, 1559, inkwizycja za czasów papieża Pawła IV, 800 tys. ofiar;
1568 (pocz.), na rozkaz papieża Piusa V (późniejszy święty) inkwizycja hiszpańska zaczyna mordować protestanckich Niderlandczyków, 2 miliony ofiar;
1573, noc św. Bartłomieja (23/24.08), czyli rzeź hugenotów; Papież Grzegorz XIII odprawia mszę dziękczynną, wybija medal pamiątkowy i organizuje radosne festyny na ulicach (por. radość Palestyńczyków), 25 tys. ofiar;
1648, koniec wojen religijnych w Niemczech podsycanych przez papieństwo. In-

nocenty X protestuje przeciwko ugodzie z protestantami) – 13 milionów ofiar;
1648 (pocz.), pogromy Żydów w Polsce, 100 tys. ofiar;
1941, 1945, w Chorwacji rządzi Ante Pavelić popierany przez Piusa XII, 800 tys. ofiar.

(...) Czarne wilki dopiero niedawno przybrały owczą skórę i nawołują teraz do pokoju, miłości bliźniego, przebaczenia win. Modlą się za ofiary islamskiego terroryzmu zapominając o własnym... (...). List Papieża Marcina V do Jagiełły. Nie mogąc sobie poradzić z Czechami, Marcin V wezwał Jagiełłę na pomoc w eksterminacji Husytów. W liście do Władysława Jagiełły (w r. 1429) napisał: Wiedz, że interesy Stolicy Apostolskiej, a także twojej korony czynią obowiązkiem eksterminację Husytów. Pamiętaj, że ci bezbożni ludzie ośmielają się głosić zasadę równości; twierdzą, że wszyscy chrześcijanie są braćmi, i że Bóg nie dał ludziom uprzywilejowanym prawa władania narodami; utrzymują, że Chrystus przyszedł na świat aby znieść niewolnictwo; wzywają ludzi do wolności, to znaczy do unicestwienia królów i kapłanów. Teraz, kiedy jeszcze jest czas, zwróć swoje siły przeciwko Czechom, pal, zabijaj i czyń wszędzie pustynię, gdyż nic nie jest bardziej miłe Bogu, ani bardziej pożyteczne dla sprawy królów, niż eksterminacja Husytów. (Cytat z *The Papacy and the Civil Power*).

/z dyskusji Forumowiczów:

@jerry_mcguire – @kochaj.forumowicza.
jak.siebie:

Czy musi istnieć bóg, żeby ludzie byli dobrzy albo źli? Czy on jest jednym odniesieniem? Czy człowiek musi mieć bat nad głową w postaci boga, nieba, piekła, żeby być przyzwoitym? Ilu jest bogobojnych ale złych ludzi, którzy za nic mają religię i jej nakazy? Tu nie ma znaczenia czy jesteś wierzącym czy ateistą.



■ Jeśli chcesz poznać wartość pieniędzy, spróbuj ich trochę od kogoś pożyczyć.

Benjamin Franklin

■ Lepsza kromka suchego chleba i przy tym spokój, niż dom pełen mięsa, a przy tym kłótnia.

Salomon

■ Pieniądze, które mamy, są narzędziem wolności. Pieniądze, za którymi się uganiamy – narzędziem niewoli.

Jean Jacques Rousseau

■ Pieniądze są środkiem, by móc przestać myśleć o pieniądzach.

Louis Aragon

■ Nie ma przyjemniejszej rzeczy niż niewielka dostawa pieniędzy. Duża jest zawsze w niebezpieczeństwie.

Nędza łamie ludzkie charaktery – nie sposób sprawić, by pusty worek stał prosto.

Benjamin Franklin

■ Poborca podatkowy musi kochać biednych – tylu ich powołał do życia.

Bill Vaughan

■ Bogaci zapewniają, że fortuna nie daje szczęścia. Trzeba im wierzyć. Inaczej zapewne podzieliliby się nią.

Georges Feydeau

■ Bank to miejsce, w którym pożyczają ci parasol przy słonecznej pogodzie, z żądają jego zwrotu, gdy tylko zacznie padać.

Robert Frost

■ Ceną bogactwa jest strach.

Ramón Gómez de la Serna

■ Trzeba być mądrym, żeby robić pieniądze. Zgoda! Ale najpierw trzeba być wystarczająco głupim, żeby pieniądze przagnąć.

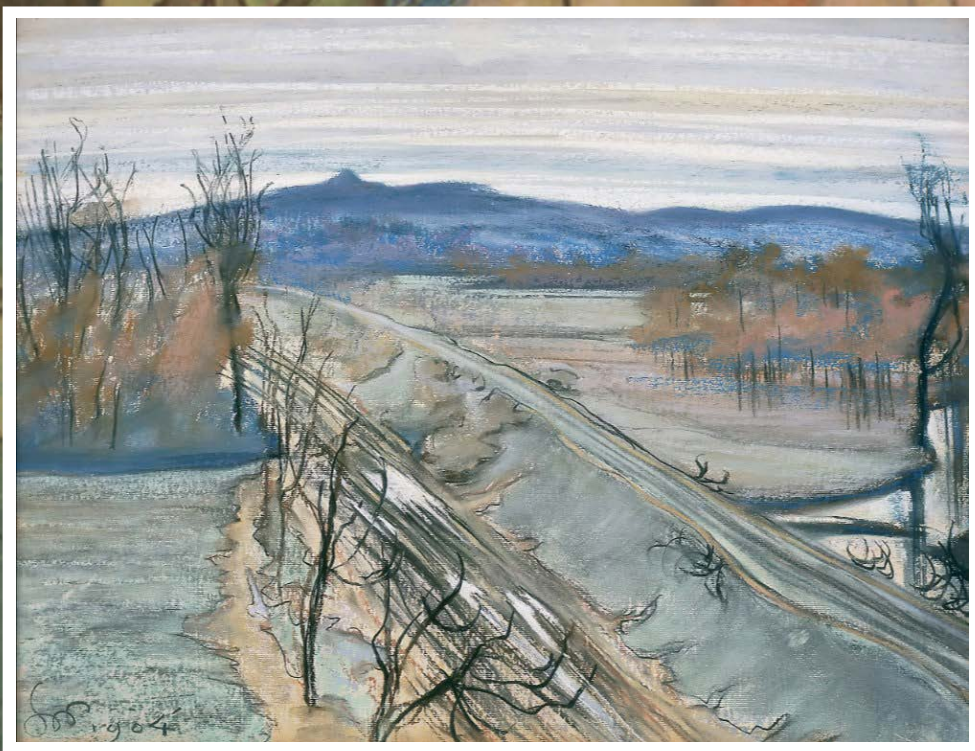
Gilbert Keith Chesterton



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Stanisław Wyspiański
Widok z okna na kopiec Kościuszki, 1904